Świat Młodych

Nr 5 (11) MARZEC 1947

Cena 20 zł



Maria Janecka, córka nie[illegible] znakomitej aktorki Janeckiej, zadebiut[illegible] Moe[illegible] i Campaneez'a „Przyjaciel [illegible] wystawionej przez warszaws[illegible]







Łódź pracuje

Reportaż z PZPB Nr 1

Pomylił się nieco Zaruba w swym jednostronnym reportażu p. t. „Łódź — dymiące Ateny" (Przekrój nr. 97), a w każdym razie przesadził. Łódź nie zaczyna się od „Mokki" i nie kończy na „Wiśle". Nie satyrycy i rozparcelowani hrabiowie odkryli miasto kominów, lecz bezimienna masa robotników i tkaczy. Ich wysiłkom zawdzięcza Łódź swą wielkość i sławę. Dzięki ich solidarności — już w pierwszych dniach po wyzwoleniu ruszyły łódzkie fabryki bez balastu niemieckich dyrektorów i uwolnione od zachcianek obcego kapitału. Przemysł łódzki samodzielnie stanął do wyścigu produkcji obok innych wielkich przemysłów państwowych. Łódź pracuje i ma wszelkie dane ku temu, by zakwitnąć gospodarczo i kulturalnie. Podstawowym elementem tego rozkwitu jest robotnik.

Wśród licznych, wielkich zakładów bawełnianych w Łodzi największe są Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr. 1 Jest to zarazem największa tego rodzaju fabryka w Polsce. Pracuje w niej 8400 robotników, korzystających z wszelkich udogodnień socjalnych. Wyróżnić tutaj trzeba Robotniczy Dom Kultury z własnym chórem, orkiestrą i sekcjami dramatycznymi. Dalej szkołę przemysłową dla uczni oraz piękny stadion sportowy.

Bardzo ożywioną działalność wykazują organizacje społeczne i młodzieżowe. Te ostatnie osiągnęły piękne wyniki w II etapie Wyścigu Pracy. Młodzi pracują i jednocześnie się uczą.

Samą fabrykę podzielić można na trzy stopnie produkcji: przędzalnię, tkalnię i wykończalnię. W przędzalni otrzymujemy z surowej, watę przypominającej bawełny — piękną i cienką nić. Tkalnia dudni z daleka ciężkim łoskotem maszyn. To cztery tysiące krosien obsługiwane przez tyleż tkaczek tworzy bez przerwy nową i nową tkaninę. Po sprawdzeniu materiał przechodzi do wykończalni, gdzie zostaje poddany bieleniu, a jeżeli chodzi o materiał barwny — farbowaniu lub drukowaniu.

A oto kilka cyfr: w roku 1945 zakłady wyprodukowały 2.295.000 kg przędzy, w roku 46 — 5.490.000 kg, co stanowi 90 proc. produkcji przedwojennej. Gorzej przedstawia się sprawa z tkaninami, których w roku 46 wyprodukowano 22.900.000 metrów (przed ro-



Praca na samoprząśnicy wózkowej.

Przewlekanie.



Nić bawełniana.



kiem 1938 — 62.000.000 m.), a to z powodu wywiezienia większej części maszyn przez Niemców w czasie okupacji. Braki w maszynach są stale uzupełniane, a cyfry planu trzyletniego upoważniają do optymizmu.

Jerzy Jaraczewski

Fotografie autora



Kamela Józef, drugi rekordzista II etapu Młodzieżowego Wyścigu Pracy 156% normy.



W świetlicy fabrycznej.



Siedemnastoletnia Halina Lipińska wykonała 158% normy.

DROGA DO POJEDNANIA

25 lutego 1947 r. weszła w życie, uchwalona jednomyślnie przez Sejm Ustawodawczy, ustawa amnestyjna, ustawa stworzona dla ludzi z podziemia polskiego.

Podziemie polskie — to w znacznej części młodzież, młodzież, która zdobywała swój światopogląd podczas wojny.

Wojna nie jest dobrym wychowawcą. Ale nasza, polska wojna miała szczególne aspekty. Była wojną na śmierć i życie. To była ideologia, wspólna całej polskiej młodzieży.

Dziś idea walki przestała być aktualna. Wróg został pobity ciężkim wysiłkiem całego świata. Nasza część zwycięstwa jest okupiona milionami ofiar.

Pozostały gruzy ojczyzny. Trzeba je odbudować jak najszybciej. Nie ten bowiem walczy o demokrację, kto wyżywa się w bezpłodnych marzeniach o „nowym, wspaniałym świecie".

Demokrację buduje ten, kto buduje dom, kto utrwala oświatę, kto zaprowadza ład i prawo, kto pracuje, aby człowiek miał co jeść i aby coraz lepiej rozumiał świat. Szkoda każdej pary rąk, które leżą bezczynnie, szkoda każdego serca, które zżera się samotnie. Ludzie z konspiracji umieją siebie zrozumieć. Oficerowie z AL-u, wśród których było wielu działaczy organizacji młodzieżowych, upomnieli się pierwsi o łaskę dla oficerów WiN-u, którzy, zanim poczęli walczyć z demokracją, walczyli z Niemcami.

Dzięki amnestii człowiek z lasu, człowiek z podziemia, wróci do normalnego życia. Zda broń, ujawni swój pseudonim, zerwie „kontakty", zacznie korzystać z przywilejów obywatela i ponosić z nim wspólne ciężary. Państwo i organizacje społeczne pójdą mu na rękę i dadzą dom, pracę, zorganizują życie.

Prasa codzienna podaje cyfry ujawnionych, statystyki składanej broni, liczby wypuszczonych z więzień.

Ciężka jest odbudowa ruin Ojczyzny. Z wielkim wysiłkiem dźwigamy mury miast, budujemy transport, podnosimy produkcję. Czeka nas jeszcze mozolna praca, nieefektowna, codzienna.

Ale o ileż cięższa była odbudowa moralna Ojczyzny! Urazy i gniewy, nieufności i żale dzieliły nas, czyniły z nas wrogów. Dziś stajemy się jednym narodem, mającym jedno prawo i jeden cel: odbudowa, a nie niszczenie. Pokój, a nie spekulacja na międzynarodowych zamieszkach. Wolność, a nie ucisk.

Normalizuje się życie polskie. Każdy odbudowany dom i każdy pozyskany dla narodu człowiek, z lasu czy z zagranicy, — powiększa potęgę kraju i przybliża nas do celu: demokracji ludowej.

T. B.



Rodziny oczekują na wychodzących z więzień.



Uwolnieni na zasadzie amnestii.



Pierwszy krok na wolności.

FOTO — SAP





W chwili, gdy armia czechosłowacka uwalniała swoją ojczyznę od jarzma faszyzmu



wojska polskie zdobywały Pomorze i Śląsk.

UKŁAD ZOSTAŁ PODPISANY

Dnia 10 marca 1947 r. w warszawskim Belwederze podpisany został pomiędzy Republiką Czechosłowacką a Rzeczpospolitą Polską układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy.

Układu takiego oczekiwaliśmy oddawna. Wielkomocarstwowe hasła sanacyjnej polityki na glinianych nogach, hańbiący „marsz na Zaolzie" w okresie, gdy radio niosło na cały świat daremne wołanie prezydenta Benesza o pomoc dla straszliwie osamotnionej, wydanej na łup Hitlera, Czechosłowacji — wszystko to zmiótł przewrót ostatniej wojny.

W Czechosłowacji i Polsce przez długie lata okupacji łopotały urągliwie te same czerwone sztandary, przekreślone czarnym krzyżem swastyki. Po ulicach miast polskich i czechosłowackich węszyli ci sami żandarmi i szpicle. Tak samo ginęli w obozach obywatele polscy i czechosłowaccy.

Zapomniane zostały dawne, inspirowane przez prohitlerowskie koła, polsko-czechosłowackie incydenty. We wspólnej walce przeciw faszyzmowi zjednoczyły się siły słowiańszczyzny. Żołnierz polski i żołnierz czechosłowacki zawarli braterstwo broni.

Przemiany polityczne i społeczne sprawiły, że do głosu w obu krajach doszły te siły, które, patrząc dalekowzrocznie, zawsze stały na gruncie rzetelnej współpracy polsko-czechosłowackiej przeciw imperializmowi niemieckiemu. Konsekwencją tego stanowiska jest zawarty w Warszawie układ. Jest on jeszcze jednym gwarantem trwałego pokoju i bezpieczeństwa dla narodów słowiańskich. Jest zarazem jeszcze jednym fundamentem, na którym oprzeć się może gospodarczy i kulturalny rozkwit Polski i Czechosłowacji.

„Wierzę, że nasze narody zbliżą się do siebie tak, jak jeszcze nigdy w dziejach...". Te słowa powiedział premier Czechosłowacji, Gottwald, po podpisaniu układu. Układ podpisali premierzy i ministrowie spraw zagranicznych. Rzeczą narodów jest, by układ został wypełniony, by między Polską i Czechosłowacją, pomiędzy czechosłowackim i polskim światem nauki i światem pracy, pomiędzy czechosłowacką i polską młodzieżą, nawiązała się trwała, serdeczna przyjaźń.

A. U.



Premier Cyrankiewicz podpisuje układ polsko-czechosłowacki o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Obok premier Rządu Czechosłowacji, Klement Gottwald.

FOTO — FILM POLSKI

MIASTO, KTÓREGO NIE ZDOBYŁ NAPOLEON, A KTÓRE ZDOBYŁ ŻOŁNIERZ POLSKI



Rok 1806-ty był rokiem klęsk ówczesnego państwa pruskiego. Wojska napoleońskie po rozbiciu Prusaków pod Jeną i Auerstadt zalały cały kraj. Po dłuższym lub krótszym oporze padały kolejno pruskie twierdze — Magdeburg, Szczecin, Kistrzyń. Jedynym miastem, które stawiło opór zwycięskim wojskom cesarza Francuzów, był — Kołobrzeg. Pomimo ogromnego nakładu sił i środków, Napoleon Kołobrzegu nie zdobył ani w 1806, ani w 1807 roku.

Fakt ten wykorzystało dowództwo niemieckie dla podniesienia ducha swych żołnierzy zimą roku 1945, gdy u murów słowiańskiego Kołobrzegu, zamienionego w pruski Kolberg, stanęły oddziały I-ej Armii Wojska Polskiego. Kołobrzeg miał w tym właśnie ostatnim etapie wojny dla Niemców szczególne znaczenie. Tutaj, do Kołobrzegu zwieźli Niemcy wszystkie składy i magazyny, ewakuowane z Pomorza Zachodniego. Do Kołobrzegu cofały się rozbite oddziały hitlerowskie wraz ze sprzętem, uzbrojeniem i amunicją. Niemcy mieli nadzieję, że utrzymanie Kołobrzegu przez dłuższy czas pozwoli im na ewakuowanie ludzi, sprzętu wojennego i składów do centralnej części Rzeszy, co miałoby duże znaczenie w obliczu decydującej ofensywy sojuszników.

Dlatego właśnie dowództwo niemieckie wykorzystało w całej pełni naturalne i sztuczne linie obronne miasta dla zorganizowania długotrwałego oporu. Dlatego w porcie kołobrzeskim skoncentrowane zostały resztki bałtyckiej floty niemieckiej. Dlatego przypominano żołnierzom i folkssturmowcom tradycje „niezdobytej fortecy", która oparła się Napoleonowi, oprze się więc także Polakom...

Dowództwo I-ej Armii Wojska Polskiego przeprowadzało operację kołobrzeską samodzielnie, bez współudziału większych jednostek radzieckich. Zadanie nie było bynajmniej proste, szczególnie, że trzeba je było wykonać szybko.

Kołobrzeg opasany był trzema liniami umocnień ziemnych, gęsto przetykanych żelbetonowymi bunkrami. Miasto otoczone było także głębokimi rowami naturalnymi i bagnami, które wraz z błotnistą rzeką Persentą (Prośnicą) stanowiły przeszkodę dość trudną do sforsowania.

Załoga Kołobrzegu była dość liczna. Składała się, jak mówiliśmy, z ocalałych w poprzednich bojach jednostek, wśród których był szereg oddziałów SS. Nieprzyjaciel rozporządzał znaczną liczbą czołgów i dział szturmowych, przy których pomocy bez przerwy kontratakował nasze szturmujące oddziały. Poważnym wsparciem były dla Niemców działa stojących w porcie okrętów, które nieustannie zasypywały pociskami atakujących.

Do szturmu ruszyły trzy polskie dywizje piechoty: 3-cia (kierunek centralny), 4-ta (prawe skrzydło) i 6-ta (lewe skrzydło).

Dopiero po trzydniowych walkach udało się batalionowi majora Tarnawskiego z 7-go pułku piechoty zdobyć kilka domów na przedmieściu Kołobrzegu. Sukces ten, okupiony znaczną ceną krwi, stał się od-



FOTO — FILM POLSKI



skocznią dla dalszych operacji. Walki były niezwykle zacięte i wymagały od naszych żołnierzy największego wysiłku i prawdziwego bohaterstwa.

Oto wyjątki ze wspomnień jednego z uczestników walk o Kołobrzeg:

„Z okresu walk zachowało się wiele materiałów, mówiących o waleczności żołnierza polskiego. Wystarczy wspomnieć choćby szer. Wacławika, który wziął do niewoli 34-ech „szkopów" lub sierż. Skutelę, dowódcę zwiadu 9-go p. p., który na czele plutonu zdobył ważny punkt przeciwnika—gazownię. Przejdą również do historii chwały oręża polskiego walki o zdobycie kościoła kołobrzeskiego, który kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie po kilkudniowych walkach Niemcy zostali wyparci.

Walki były niesłychanie zaciekłe. Niemcy w imię tradycji Kołobrzegu wciągali do Volkssturmu wszystkich, nawet kobiety i dzieci. Tu również broniły się resztki rozbitej przez nas dywizji francuskiej SS „Charlemagne".

Dom za domem, piętro za piętrem, izbę za izbą wydzieraliśmy z rąk znienawidzonego szwaba. Wreszcie 17 marca dowództwo niemieckie przyciśnięte do wybrzeża, ucieka na barce, zostawiając załogę miasta samotną. 18 marca przypuściły jednostki 3 D. P. ostateczny szturm na umocnienia niemieckie, wyparły z nich Niemców i gnały w morze. Białoczerwony sztandar załopotał na maszcie nad portem kołobrzeskim. Żołnierze byli pijani radością zwycięstwa. Niektórzy z nich po raz pierwszy w życiu widzieli morze, teraz ściągali buty, myli się w ożywczych falach Bałtyku".

Zwycięstwo pod Kołobrzegiem miało decydujące znaczenie dla oczyszczenia całego Pomorza Zachodniego od Niemców. Hitlerowcy bronili się jeszcze tylko w rejonie Gdańska i Gdyni. W końcu marca wojska radzieckie przy współudziale I-ej Polskiej Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte zdobyły i te ostatnie gniazda oporu nad Bałtykiem.

Polskie wybrzeże wróciło do Rzeczypospolitej. Wróciło nie w postaci 70-kilometrowego korytarza, a w postaci długiego, 500-kilometrowego pasa nadmorskiego — prawdziwego „okna na świat", godnego wielkiego państwa.

W końcu marca i w pierwszej połowie kwietnia jednostki I-ej Armii zajęły nad Odrą pozycje wyjściowe do ostatniego szturmu.

Żołnierze polscy stali na granicach Rzeczypospolitej. Za ich plecami leżały wyzwolone ziemie polskie.

Przed nimi rozciągało się terytorium wroga, który sądził, że na zawsze ujarzmił narody słowiańskie.

I właśnie z ręki Słowian mieli Niemcy otrzymać cios ostateczny...

por. Z. Garbień.

Na ulicach Kołobrzegu





Zima w Londynie



w Wenecji



w Milwaukee (U.S.A.)





Transporty z węglem idą bezustannie do Londynu



Symbol stosunków w Palestynie: na mostku kapitańskim okrętu z uchodźcami żydowskimi wymalowano napis: „Nelsonie! Patrz na swoich potomków". Nelson był admirałem brytyjskim, słynnym z odwagi i szlachetności



Dzieci angielskie, ewakuowane z Palestyny bawią się w obozach

ze świata

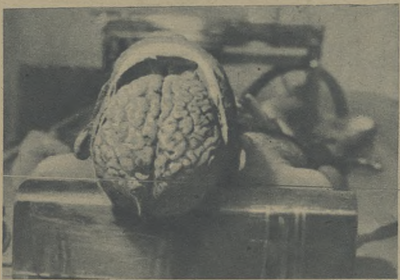
Wielkie mrozy i niezwykle obfite opady śnieżne nieomal zupełnie sparaliżowały normalne życie wielu nawet dobrze zorganizowanych i zagospodarowanych państw. Dotknęły one nie tylko Polskę, Francję czy Włochy, gdzie w Wenecji pływały ośnieżone gondole — bogata Ameryka również nie umiała usunąć nadmiaru śniegu: oto samoloty w Milwaukee, zasypane po dachy. W Anglii opady śniegu, pod których ciężarem gięły się drzewa w Londynie, połączone z przejściowym brakiem węgla, dały się dotkliwie we znaki ludności miast brytyjskich. Jednakże wysiłki rządu Partii Pracy i górnika angielskiego, który z poświęceniem pracował w wydartych kapitałowi, upaństwowionych kopalniach, przyniosły owoc: pociągi z węglem idą bez przerwy do Londynu, żegnane okrzykami powracających z pracy górników. W Anglii jest zimno, ale w Palestynie, nad którą Anglia sprawuje władzę mandatową z ramienia Ligi Narodów — jest gorąco. Prześladowania Żydów podczas wojny obudziły w nich tęsknotę do posiadania własnej ojczyzny: emigrują oni masowo do Palestyny. Anglia, związana interesami ze światem arabskim, jest niechętna tej emigracji: okręty z żydowskimi uchodźcami z koncentracyjnych obozów Europy są zatrzymywane, a ludzie pod strażą wojsk odstawiani na Cypr, do obozów przejściowych. W obawie zaś przed terrorystami żydowskimi, którzy zamierzają zmusić Anglię do ustępstw rozpętaniem wojny domowej, władze brytyj-

FOTO — SAP





Kollaboracjoniści francuscy i czescy.



Dowód zbrodni niemieckich: mózg człowieka zamordowanego podczas doświadczeń



Powitanie księcia Don Juana w Madrycie

skie ewakuują z Palestyny młodzież i dzieci angielskie do obozów, gdzie spędzają one bardzo miłe czas na zabawach i grach sportowych.

Z wielkim trudem świat wykuwa nowe normy moralne, które będą chroniły człowieka przed uciskiem i niesprawiedliwością. Bezlitośnie również karze się zdrajców i zbrodniarzy: oto przed sądem w Paryżu stanęli czterej ministrowie francuskiego rządu Vichy, którzy współpracowali z okupantem hitlerowskim, w Pradze zaś osądzono szereg polityków (m. in. gen. Syrovego), zdrajców narodu czechosłowackiego. Faszyzm bowiem musi być wypalony z powierzchni ziemi. Narody nienawidzą faszyzmu. Muszą one pamiętać, że są jeszcze narody uciemiężone przez faszyzm. Entuzjastyczne powitanie Don Juana, syna byłego króla hiszpańskiego, w Madrycie, świadczy, że naród hiszpański dość ma faszyzmu i pragnie jakiejkolwiek zmiany. Faszyzm musi być wypalony z powierzchni ziemi; mózg człowieka bowiem ma służyć do budowania lepszej przyszłości dla wszystkich ludzi, a nie dla doświadczeń zwyrodnialców hitlerowskich. W zbiorach lekarza niemieckiego dr Raschera z Monachium odnaleziono powyższą fotografię, — która pokazuje zmiany patologiczne w mózgu człowieka, poddanego wielogodzinnej kąpieli w lodowatej wodzie, a następnie — utopionego. Dobrze się stało, że ludzie, na których ciąży odpowiedzialność za zbudowanie trwałego pokoju, obejrzeli ślady jednej z największych zbrodni niemieckich na ziemiach polskich: min. Bevin i min. Bidault, przejeżdżając przez Warszawę, parę godzin poświęcili na zwiedzanie jej ruin. Budowaniu trwałego pokoju poświęcona była również wizytą prem. J. Cyrankiewicza w Moskwie. Zawarty sojusz Polsko-Radziecki stanie się kamieniem węgielnym przyszłego pokoju.





Przejazd przez Warszawę: Min. Bevin, min. Bidault



FOTO — ZAP

Premier J. Cyrankiewicz



L. B. Życki

Walka z

REWOLUCJA przemysłowa w ubiegłym stuleciu wywołała ogromne zmiany w ustroju społecznym i gospodarczym, rozbiła średniowieczny schemat, w którym narody europejskie jeszcze wciąż tkwiły. W ostatnich dziesiątkach lat wiedza poczyniła nieskończenie większe postępy, niż w czasach rewolucji przemysłowej. Pod jej naporem pękała tkanka społecznego i gospodarczego systemu kapitalistycznego. Ci, którzy stali u steru władzy, kontrolując produkcję towarową usiłowali zdusić wyłaniające się siły i ograniczyć produkcję i rozdział dóbr. Lecz siły, raz wyzwolone, są bardzo trudne do zduszenia.

Niestety, potęga, jaką wyzwala wiedza, może być z równym powodzeniem użyta do budowania, jak i niszczenia. Nie zużytkowana dla celów konstruktywnych, może się wyładować w straszliwej orgii zniszczenia, jak to widzieliśmy w czasie ostatniej wojny.

Nauka może stać się monopolem nielicznej klasy wyzyskiwaczy i narzędziem ucisku mas.

Ale, w ustroju demokratycznym może stać się również dobrodziejstwem ludzkości, dźwigiem wznoszącym człowieka na coraz wyższy poziom kultury i dobrobytu.

Jedną z najważniejszych zdobyczy wiedzy nowoczesnej, mogącą najbezpośredniej wpłynąć na polepszenie losu szerokich mas, jest nauka o odżywianiu.

Powstała już w osiemnastym stuleciu, jako odgałęzienie fizyki. W owym czasie uczeni zajmowali się związkiem między ciepłem a energią i zużyciem energii do maszyn, których powstający przemysł potrzebował. Francuski uczony, Lavoisier, używał do swych doświadczeń człowieka. Stwierdził on, że prawa o o cieple i energii, dające się zastosować do nieżyjących maszyn można również zastosować do człowieka, którego źródłem energii jest pożywienie. Ilość pożywienia potrzebnego do podtrzymania ciepłoty ciała, wzrasta — twierdził uczony — gdy zewnętrzna temperatura opada, zaś ilość pożywienia, potrzebna do wykonania jakiejś pracy, znajduje się w prostym stosunku do pracy wykonanej.



Niemcy

Tak powstała nauka o odżywianiu i uczeni przez przeszło sto lat studiowali człowieka jak maszynę, określając, jakich składników potrzebuje on do życia i wykonywania pracy. Analizując pokarmy, odkryto w nich trzy składniki: białko, tłuszcze i węglowodany. Ustalono jednostkę ciepła czyli kalorię i w tych jednostkach określano wartość odżywczą pokarmów w zależności od ich składu chemicznego. Jeszcze do dziś dnia spotykamy się z określeniem wartości odżywczej pokarmów w kaloriach. Tymczasem uczeni dziewiętnastego wieku popełnili w swych badaniach błąd, o ile to można nazwać błędem, mianowicie ten, że traktowali robotnika jak maszynę. Człowiek bowiem nie jest maszyną. Jest bardzo skomplikowanym organizmem, wymagającym znacznie więcej, niż to, co dają: białko, tłuszcze i węglowodany. Człowiek potrzebuje wielkich ilości substancji, które się znajdują w pokarmach i o których posiadamy jeszcze niedokładne wiadomości.

Już około pięćdziesięciu lat temu szwajcarski badacz, Lunin, karmiąc zwierzęta czystym białkiem, tłuszczem i węglowodanami, stwierdził, że jednak musi tu czegoś brakować, gdyż tak karmione zwierzęta umierały. Dodatek soli mineralnych do pokarmu przedłużał im życie, ale nie na długo. Lunin doszedł do wniosku, że w pokarmach musi się znajdować, poza znanymi składnikami, jeszcze coś nieznanego. Lecz ówcześni uczeni nie zwrócili uwagi na badania Lunina, a wielu nic nawet o nich nie słyszało. Na początku jednak bieżącego stulecia profesor Uniwersytetu w Cambridge, Gowland Hopkins, przeprowadzając podobne doświadczenia ze zwierzętami dowiódł, że w pożywieniu znajdują się bardzo ważne składniki, bez których nie ma życia i zdrowia. Przepowiedział on, iż krzywica, tak popularna w jego ojczyźnie wśród robotników choroba, której przyczyny były wówczas nieznane, musi mieć źródło w braku tych nieznanych składników. Przypuszczenia jego zostały potwierdzone przez uczonych holenderskich, którzy badali często spotykaną na Wschodzie chorobę beri-beri. Choroba ta występuje wśród krajowców, żywiących się głównie łuszczonym ryżem. Uczeni owi stwierdzili, że najlepszym środ-

Chiny



głodem

kiem na tę chorobę są otręby ryżowe. Początkowo sądzili, że te otręby zawierają jakieś odtrutki przeciw truciznom znajdującym się w łuszczonym ryżu, lecz potem doszli do przekonania, że choroba występuje na skutek braku jakichś elementów w łuszczonym ryżu, które zato znadują się w otrębach.

W 1911 roku polski uczony Kazimierz Funk nazwał te nieznane substancje witaminami i określił ich znaczenie przy leczeniu chorób, powstałych z ich braku w pokarmach jak **szkorbut, krzywica, beri-beri i podagra.** Podjęto nowe badanie nad pożywienicm i stwierdzono, że prócz witamin tak samo braki składników nieorganicznych, jak wapno, fosfor, żelazo, jod, mangan, magnezja, miedź, powodują choroby u ludzi i zwierząt.

Obecnie wiadomo, że pokarmy, w których brak witamin, białka i minerałów są z punktu widzenia odżywczości nic nie warte i że spożywane przez czas dłuższy powodują choroby. Obecnie uczeni pracują nad badaniem chemicznego składu witamin, wiele z nich wytworzono już w laboletorium. Badania nad ludźmi i zwierzętami pozwoliły określić, ile i jakie witaminy oraz minerały potrzebne są do utrzymania człowieka w dobrym zdrowiu. Około 1930 r. uzyskano już tyle, że można było opracować tablice, wykazujące czego człowiekowi do zdrowia potrzeba.

Te wiadomości pozwoliły z kolei stwierdzić, w jakich strasznych warunkach żyją szerokie masy na świecie. Nawet w tak bogatej Anglii stwierdzono między 1930, a 1935 rokiem, że odżywianie prawie połowy ludności nie znajdowało się na wymaganym przez naukę poziomie.

Światowa Konferencja żywnościowa stwierdziła na podstawie danych statystycznych, że nawet w najbogatszych krajach 20 do 30 proc. ludności cierpi głód.

Braki w odżywianiu wzrastają w miarę obniżania się zarobków. U najbiedniejszej części ludności angielskiej, wynoszącej około 4,5 milionów, pożywienie było pozbawione prawie wszystkich ważniejszych witamin i minerałów. Badania w Ameryce wykazały, że podobnie jak w Wielkiej Brytanii, połowa ludności odżywia się niedostatecznie. W biedniejszych krajach było jeszcze gorzej. W Chinach, według raportu rządowego z 1940 r. połowa ludności nie ma co jeść, a biedacy są zawsze głodni. Już przed wojną stwierdzono, że dwie trzecie mieszkańców naszego globu cierpi głód. Głód i niedojadanie są jednym z najgroźniejszych zagadnień Indii. Wojna ten stosunek jeszcze tragicznie pogorszyła. Tymczasem według badań prezesa Radzieckiej Akademii Nauk, profesora Wawiłowa, zaledwie na 10 proc powierzchni naszego globu uprawia się intensywną gospodarkę rolną. Jest więc dość terenów, by na nich uzupełniać braki w pożywieniu. Według danych amerykańskiego Departamentu Rolnictwa trzeba by uprawić dodatkowo 40 milionów akrów by wyrównać braki w odżywianiu ludności Stanów Zjednoczonych. Te braki sięgają do 15 proc. jeśli chodzi o masło i aż do 75 proc., jeżeli chodzi o owoce i warzywa. Ludność wysp brytyjskich powinna dla wyrównania braków w odżywieniu zwiększyć konsumcję owoców o 70 proc., mleka o 65 proc., jarzyn o 60 proc. i mięsa o 25 proc. W Indiach dla zwalczania głodu potrzebne jest zwiększenie spożycia o 100 proc. Na całym świecie trzeba by zwiększyć produkcję żywności o sto procent.

Chociaż w wielu wypadkach niedostateczne pod względem składników odżywianie jest wynikiem nieświadomości, przesądów czy przyzwyczajeń, to jednak głównym powodem złego odżywiania jest bieda i związane z nią odżywianie się tanimi potrawami, jak kartofle, ryż i t. p. Tutaj nauka nic nie poradzi, gdyż podniesienie stopy życiowej jest uwarunkowane całym szeregiem przemian społecznych i gospodarczych.

Polska wyszła z chaosu wojennego straszliwie zniszczona. Olbrzymi procent dzieci ma gruźlicę. Na przyczółkach ludność mieszka w warunkach najbardziej prymitywnych. Tak samo w zburzonych miastach: w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu. Odbudowa materialna kraju musi iść w parze z najczulszą opieką nad człowiekiem, szczególnie nad dzieckiem. Do olbrzymich zadań demokracji przybywa jeszcze jedno: reforma odżywiania, sprawiedliwy jego dział, a przede wszystkim — dostateczna jego produkcja.



Indie

Pieśni wo

Tydzień pomiędzy 21—28 marca jest Światowym Tygodniem Młodzieży, tygodniem współpracy i międzynarodowego zrozumienia. Zwróćmy naszą myśl do tych, którzy dziś jeszcze giną w więzieniach i w partyzanckich oddziałach — do młodzieży walczącej Hiszpanii.

Kiedy w lipcu 1936-ego roku Hitler i Mussolini wywołali bunt generałów w Hiszpanii, tysiące polskich ochotników zasiliło szeregi Armii Republikańskiej w obronie wolności hiszpańskiego narodu.

Czyn żołnierzy Polskiej Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego, ochotników walk o wolność Hiszpanii, zapisał jedną z najpiękniejszych kart historii walk wolnościowych polskiego oręża, a dla nich samych był wielką szkołą obrony wolności własnego kraju. Ogromna większość Dąbrowszczaków zginęła na polach Hiszpanii lub później w walkach partyzanckich w Polsce i we Francji. Ci, którzy pozostali przy życiu, zachowają na zawsze podziw dla ludu, który gołymi niemal rękami bronił się w ciągu dwóch i pół roku przeciw nowoczesnej machinie wojennej **Hitlera i Mussoliniego.** W Dąbrowszczakach żyje niezniszczalna miłość do Hiszpanii, kraju, którego geografię poznawali w marszach bojowych, a w rzadkich chwilach odpoczynku, jako przyjaciele sojusznicy, uczestniczyli w życiu codziennym hiszpańskich wieśniaków, robotników, mieszczan. Z tego żywego, bliskiego kontaktu pozostało im, prócz niezatartych wspomnień, coś, co im towarzyszy, jak żywy przyjaciel z tamtych lat: pieśń.

Hiszpan bogato wyraża swoje uczucia. Słowa same nie wystarczają. On musi swoją radość czy ból wytańczyć, wyśpiewać. Prościutkie „coplas", które tworzą ludowi poeci, wchodzą natychmiast w lud, rosną w treść i w strofy. Często zaczynają się motywami, dotyczącymi wypadków z przed kilkuset lat, a z ziegiem lat narastają im nowe strofki, stare giną — życie pieśni trwa, jak życie ludu.

Niechaj pieśni walczącej Hiszpanii, drugiej ojczyzny Dąbrowszczaków, przyczynią się do tego, aby polska młodzież, śpiewając je, pokochała ten daleki geograficznie, a tak bliski nam duchowo i potrzebujący dziś naszej pomocy wspaniały, rycerski lud.

Zofia Szleyen.



Grupa po

HYMN DE RIEGO

Dźwięki hymnu de Riego zabrzmiały po raz pierwszy w Maladze w 1820 roku w czasie powstania ludowego przeciwko tyranii wiarołomnego króla, Ferdynanda VII-go. Rewolucja liberalna zwyciężyła, ale car rosyjski i król francuski wystąpili z pomocą Ferdynandowi. Powstanie zostało krwawo stłumione, a przywódca powstania Rafael de Riego — powieszony.

Od tego czasu historia hymnu wiąże się ściśle z historią walk wolnościowych w Hiszpanii. Nowa godzina hymnu Riego wybiła wraz ze zwycięstwem Republiki w 1931-ym roku. Odtąd stała się ona oficjalnym hymnem Republiki Hiszpańskiej.

Pogodni i weseli,
odważni, mocni, śmieli,
śpiewajmy żołnierze,
potężny walki hymn.

Wiatr słowa te
daleko śle
świat słucha ich
podziwia je:
to walki jest
rycerski hymn —
z nas każdy Cyda syn.

Żołnierze, za wolność idziemy dziś się bić,
umrzeć, lub zwyciężyć, bo wolni chcemy żyć.

Świat nigdy nie znał tego
wielkiego żaru męstwa
co w dumnym sercu Riego
zwycięstwa wolą trwał

Ten ogień święty i ten żar
w nas dzisiaj znowu płonie,
ten ogień święty i ten żar
nam w sercach płonie znów.



Partyzanci odpoczywają po akcji — zdjęcie z 1947 r.

PIOSENKA ARMII EBRO

W lipcu 1938-go roku Armia Republikańska przeszła do ataku — i nocą kilka dywizji przeprawiło się przez rzekę Ebro na łodziach i po naprędce zbudowanych mostach pontonowych. Za bohaterskie zachowanie się w czasie tych walk, Brygada Dąbrowskiego i batalion Mickiewicza (jeden z batalionów tej Brygady) zostały odznaczone najwyższym odznaczeniem wojskowym Republiki — Medalem za Odwagę (Medalla del Valor).

Wraz z ofensywą narodziła się piosenka o niej...

Raz lipcową nocą ciemną Bum bara
bum bara bum bam ba
bis
nasza armia przeszła Ebro, aj Karmela,
aj Karmela
bis
popłynęliśmy łodziami bum bara bum bara
bum bam ba
bis
mosty nam zbombardowali, aj Karmela,
aj Karmela
bis
Messerschmidty wytropiły bum bara
bum bara bum bam ba
bis
bombardują z całej siły aj, Karmela,
aj Karmela
bis
Ale bomba nie przestraszy, bum bara
bum bara bum bam ba
bis
tego, co za wolność walczy aj, Karmela,
aj Karmela
bis

Przekład Zofii Szleyen

…lnych Hiszpanów



…yzantów w walczącej Hiszpanii — zdjęcie z 1947 r.

ASTURIA

Patriotyczna piosenka Asturii, sławnej ze swych walk wolnościowych. Tutaj podczas strajków górników lała się krew asturyjskiego ludu w starciach z policją, tutaj w 34-tym, i później w 36-tym działali słynni „dinamiteros", używający dynamitu w walce partyzanckiej. Tutaj od roku 34-go słychać było wielki głos Pasionarii, nawołujący do walki o sprawiedliwość.

Ostatnia strofka pieśni, dodana w 37-ym roku, nawiązuje do straty miasta Oviedo.

Asturio, ziemio mych młodych lat,
Asturio, ziemio jedyna,
do mojej ziemi chcę wrócić wnet
i wrócę, jeśli nie zginę

Wrócę i wejdę na drzewo
i zerwę kwiat pełen rosy
i dam go mojej czarnulce
aby go wpięła we włosy — (bis)

Asturio, ziemio mych młodych lat,
Asturio, ziemio mych marzeń,
o bracie, gdybyś ją znał,
rozumiałbyś, czemu płaczę

wrócę — zobaczę Oviedo,
chwycę karabin i granat,
pójdę się bić za Asturię,
moją ojczyznę kochaną! (bis)

PIOSENKA O DĄBROWSZCZAKU I HISZPANCE

Dąbrowszczacy specjalnie upodobali sobie tę starą ludową piosenkę, którą bezimienny autor wsławił polskich żołnierzy, jako „tych z trzynastej". Brygada polska imienia Jarosława Dąbrowskiego nosiła bowiem [illegible] trzynasty.

Żołnierze z trzynastej już idą, idą już
na front!... bis

idą na front, mamo, chodzą słuchy,
że polskie chłopaki, to są same zuchy!

Spójrz, Hiszpaneczko śliczna, spójrz
na mnie, na mnie, na mnie spójrz!... bis

spójrz na mnie,, jeśli kochasz życie wolne,
to zapragniesz ze mną razem iść na wojnę!

Na wojnę z tobą chłopcze, nie, nie, nie,
nie, nie, nie chcę iść! — bis

nie chcę na wojnę iść i maszerować,
tam trza spać na ziemi, tam trzeba
głodować!

O głodzie, ni na ziemi nie, nie, nie, nie,
nie będziesz spać, [illegible] bis

Lecz będziesz spała na posłaniu z kwiatów
obok zakochanych czterech
Dąbrowszczaków!

•

Piosenki z opracowanego przez Zofię Szleyen zbioru, który ukaże się wkrótce nakładem Głównego Zarządu Polityczno - Wychowawczego Wojska Polskiego.

PARTYZANCI HISZPAŃSCY PRZECHODZĄ DO OFENZYWY

Walka republikańskich partyzantów Hiszpanii, wymierzona przeciw reżimowi Franco, obejmuje z każdym dniem coraz to nowe okręgi półwyspu Pirenejskiego i z każdym dniem przybiera na sile.

Walka orężna przeciw reżimowi Franco trwa bez przerwy od marca 1939 r. — a więc od chwili rozwiązania armii republikańskich. W pierwszym okresie — w latach 1939—1941 — działania partyzanckie objawiały się w tworzeniu małych grup dywersyjnych w okręgach Asturii i Estramadury, gdzie ludność, zaprawiona w używaniu broni, zdołała ją ukryć przed frankistowską żandarmerią. Obecnie, w związku z tym, że w Hiszpanii znalazło schronienie wielu niemieckich przestępców wojennych, — położenie zbrojnych ugrupowań stało się niezwykle ciężkie. Franco zaangażował Niemców do walki z partyzantami.

Niemniej jednak ruch partyzancki nie tylko nie osłabł, ale nawet wzrósł, gromadząc w swoich szeregach demokratycznie nastawionych chłopów.

Rozrost wolnościowego ruchu partyzanckiego datuje się od końca 1945 roku. Kiedy Franco poczuł się zmuszony do ogłoszenia w wielu prowincjach Hiszpanii stanu wyjątkowego, który trwa po dziś dzień, „Guardia civil" (żandarmeria) otrzymała w tych właśnie okręgach doradców niemieckich, częstokroć czynnych w Hiszpanii już w okresie wojny domowej. Obecnie natężenie walk jest tego rodzaju, że Falanga wydaje codziennie w Madrycie regularne komunikaty z placu boju.

W samej stolicy Hiszpanii dokonano szeregu zamachów bombowych, m. in. na główną siedzibę organizacji falangistowskich i na budynek istniejącego dotąd Towarzystwa hiszpańsko-niemieckiego.

Republikański sztab wojskowy w Tuluzie podkreśla, że hiszpańskie walki partyzanckie przybiorą właściwe rozmiary w chwili, gdy Francja i inne państwa zażądają stanowczo od faszystów hiszpańskich wydania przebywających w Hiszpanii przestępców wojennych, którzy są główną podporą reżimu gen. Franco.

Akcje partyzanckie w Baskii i Katalonii zostały ostatnio poparte krwawymi strajkami w szeregu fabryk. W całej Hiszpanii przeprowadza się intensywne zbiórki, mające na celu niesienie pomocy oddziałom partyzanckim.

Terror, skierowany przeciwko antyfaszystowskim organizacjom, trwa w Hiszpanii bez przerwy. W więzieniach giną najlepsi patrioci hiszpańscy. W Głównej Kwaterze Bezpieczeństwa w Madrycie zabity został uderzeniami kija znany działacz demokratyczny Eduardo Sancher Biezma. W styczniu b. r. wyprowadzeni zostali z więzienia i rozstrzelani na cmentarzu wsi Carabanchel dwaj działacze ludowi Isasa i Yerandi.

W więzieniu przebywają również przywódcy hiszpańskiej młodzieży demokratycznej: Celestyno Uriate, Jose Luis Sanchez, Gonzales Barona, Consuela Alonso i wielu innych. Więźniowie poddawani są torturom, życiu ich zagraża niebezpieczeństwo.

Przebywająca na emigracji młodzież hiszpańska, zorganizowana w Federacji Zjednoczonej Socjalistycznej Młodzieży Hiszpanii, zwróciła się ponownie do światowego ruchu młodzieżowego z gorącym apelem o interwencję w obronie ofiar frankistowskiego terroru.

We wszystkich krajach zawiązały się Komitety Pomocy dla Młodzieży Demokratycznej Hiszpanii. Taki komitet powstał także i u nas. Walka o wolność Hiszpanii jest bowiem jednym z głównych odcinków walki o demokrację i pokój.

Tadeusz Borowski

MATURA na TARGOWEJ

Całą zimę uczyłem się w małej przybudówce, którą zostawiła nam fabryka na gruzach zniszczonego podczas pierwszej bitwy o Warszawę — domu.

Przybudówka była wąska, niska i wilgotna, a przez wielkie okno, uchylające się na teren dawnych garaży, obecnie zarośnięty krzewami, wlewał się wieczorami księżyc i błyszczały światła z mostu. Uczyłem się wtedy późnym wieczorem. Płomień lampki, skonstruowanej z kałamarza (trzeba było oszczędzać nafty), chwiał się, poruszany oddechem. Wtedy olbrzymie cienie mojej głowy przesuwały się po ścianie bezgłośnie jak na filmie. Na zbitym z desek tapczanie spał ciężko ojciec, pracujący prawie dwanaście godzin w niemieckiej fabryce, matka, duży, rasowy doberman, przyplątany do nas niewiadomo skąd podczas oblężenia. Olbrzymi, poczciwy pies kręcił się przy rodzicach, kiedy po spaleniu domu biwakowali na pustym placu pod daszkiem z papy, chroniącym od deszczu, uganiał się za wronami, naszczekiwał na obcych i tak już został. Tej samej zimy Andrzej jeździł na rikszy. Riksza jest to trzykołowy wózek rowerowy. Przewozi się nim towary i ludzi. Jak w Japonii — za pomocą nóg. Andrzej, wysoki, smukły, o czarującym spojrzeniu chłopiec, razem ze mną kończył szkołę. Kiedy ja byłem zaczytany w Platonie i polskich filozofach okresu romantycznego, on sięgał do Ibsena i Przybyszewskiego, duchowego wodza Młodej Polski, do Kasprowicza, czołowego poety tego okresu. Sam pisywał wiersze jeszcze w szkole. Teraz zaś, w gorące dni okupacyjne pisze pamiętnik. Arkadiusz był malarzem. Świetnie znał matematykę. W dyskusjach filozoficznych cytował nieznane nam nazwiska, nazywał prądy, o których nie wiedzieliśmy nic. Był blondynem, miał przenikliwe spojrzenie artysty. Utrzymywał się z rysowania karykatur przechodniom. Narysował ich ponad dziesięć tysięcy.

Wyprowadził się od bogatego ojca, znanego krawca warszawskiego, mieszkał samotnie, uczył się w akademii malarskiej, robił jednocześnie maturę i — pił.

Julek był wychowankiem jezuitów. Pracował systematycznie nad Tomaszem z Akwinu, nad Grekami i filozofią niemiecką. Zarabiał handlem dewiz.

Wszyscy zginęli mi z oczu.

Ale zanim rozrzucił nas los, zanim ja nie pojechałem do Oświęcimia, Andrzej nie zginął w ulicznej egzekucji pod fałszywym zresztą nazwiskiem, Arkadiusza zaś nie przykryły gruzy barykady warszawskiej — tej zimy, pierwszej zimy wojennej, kiedy na Zachodzie, na linii Maginota trwały przyjazne potyczki patroli, a samoloty angielskie zrzucały nad Niemcami paczki ulotek, rozwiązując starannie każdą z nich, żeby (jak żartowaliśmy) nie zabić przypadkowo Niemca — u nas, w ciemnej jak grób Warszawie szczękały salwy plutonów egzekucyjnych, a w domach, o oknach zabitych deskami, kończyliśmy wtedy drugą licealną, przygotowywaliśmy się do matury, choć wiedzieliśmy, że wojna będzie trwała długie lata.

Uczyliśmy się w naszych prywatnych mieszkaniach, zimnych, ciasnych. Służyły nam one i za klasy i za pracownie chemiczne. Niektórzy zresztą mieli bogate domy. Stąpało się tam po puszystych dywanach, oglądało się obrazy najsławniejszych mistrzów, dotykało się końcami palców grzbietów złoconych książek, a po komplecie, po lekcji matematyki, po wykładzie z literatury, ćwiczeniach fizycznych albo lekturze książki religijnej (bo i religia była wykładana przez poczciwego księdza) — co bywalsi siadali do brydża, przegrywając przy kartach zarobione nieraz na czarnej giełdzie pieniądze. Dym papierosów gęstniał w salonie, zwijał się u okna i rozpłaszczał się pod sufitem.

Zima, choć ciężka i ciemna, minęła niepostrzeżenie. Wprawdzie Andrzej chorował niebezpiecznie na płuca i musiał rzucić swoją rikszę, wprawdzie Arkadiusz nie chciał iść do urzędu niemieckiego, aby wykupić świadectwo artystyczne i był tropiony przez policjantów na ulicach, ale dorobek nasz był znaczny. Andrzej miał w teczce parę dobrych wierszy, ja trochę książek na zbitej z desek etażerce, które kupiłem za pieniądze ze sprzedaży piłowanego drzewa, Arkadiusz znalazł wreszcie mieszkanie i nie sypiał już po kolegach. Po tej koszmarnej, trupiej zimie pozostało jeszcze wspomnienie egzekucji w Wawrze, kiedy za pijanego żołnierza niemieckiego, zakłutego w bójce przez swego własnego towarzysza, gestapo wyciągnęło z mieszkań i rozstrzelało na pustym, zaśnieżonym polu dwustu mężczyzn. Już zapełniały się cele Pawiaka, wsławiała się już Aleja Szucha, już mieliśmy w ręku pierwsze gazetki konspiracyjne, już roznosiliśmy je sami.

Wiosną, kiedy wojska niemieckie uderzyły na Danię i Norwegię, a zaraz potem jak nóż w ciało wbiły się we Francję, w Warszawie rozpoczęto pierwsze łapanki. Ogromne budy niemieckie, samochody ciężarowe, pokryte brezentem, wyjeżdżały stadami na miasto. Żandarmi i gestapowcy obstawiali ulice, wygarniali wszystkich przechodniów na auta i wieźli do Rzeszy — na roboty, a zwykle bliżej — do Oświęcimia, na Majdanek, do Oranienburga, osławionych obozów koncentracyjnych. Ilu przeżyło z dwutysięcznego transportu, który w sierpniu 1940 roku przybył do Oświęcimia? Może pięciu ludzi. Ilu przeżyło z siedemnastu tysięcy ludzi, wytransportowanych z ulic warszawskich w styczniu 1943? Dwustu? Trzystu? Nie więcej!

Wtedy też, w okresie tych pierwszych niemieckich łapanek, które robiły tak absurdalne wrażenie w stolicy wielkiego państwa, zamienionej nagle na dżunglę, w okresie, gdy Hitler fotografował się na wieży Eiffla, a olbrzymie polskie transporty więźniów szły do Oranienburga, właśnie wtedy my czterej, Andrzej, Arkadiusz, Julek i ja — my czterej zdawaliśmy maturę.

Nie my jedni. Żadne gimnazjum warszawskie nie pozostało w tyle. Wszędzie, u Batorego, u Czackiego, u Lelewela, u Mickiewicza, u Staszica, u Władysława Czwartego, w gimnazjach żeńskich Plater, Królowej Jadwigi, Konopnickiej, Orzeszkowej, we wszystkich gimnazjach prywatnych, poczynając od tych najlepszych jak św. Wojciecha i Zamojskiego — wszędzie odbywały się egzaminy maturalne ostre, dokładne, wymagające jak co roku, jak zawsze, odkąd nowoczesna szkoła istnieje.

Tysiącami młodzież zdawała maturę. Tysiące kończyły gimnazjum i szły do liceum. Wtedy, gdy Europa leżała w gruzach, w Wielkopolsce, na Śląsku, na Pomorzu, i w sercu Polski — w Warszawie, dzieci i młodzież ratowały wiarę w Europę i wiarę w dwumian Newtona, wiarę w rachunek całkowy i wiarę w wolność ludów. Kiedy Europa przegrywała swoją Bitwę o Wolność, młodzież polska — i myślę, że czeska i norweska również — wygrywała swą bitwę o Wiedzę. Pamiętam, staliśmy we trzech na przystanku przy ogromnym gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, w Alejach Jerozolimskich. Nieustannie przez tę największą arterię przelotową stolicy przewalały się masy wojska niemieckiego, szły transporty na wschód i na zachód, czołgi, wozy pancerne, ciężarówki, napęczniałe towarem. O kilka ulic dalej, na placu Trzech Krzyży, na którym stoją dziś już tylko ruiny pięknego kościoła św. Aleksandra, łapano ludzi. Żandarmi obstawili wszystkie wyloty placu. Z warkotem motorów napchane ludźmi budy wlokły się ciężko na Pawiak.

Było to absurdalne widowisko. Nie wiem dlaczego, pobudzało do śmiechu. Niekiedy skala reagowania człowieka jest zbyt mała i gdy sięga tragicznego dna, wtedy wyzwala się w śmiechu. Wszyscy trzej byliś-

my w świetnych humorach, że żyjemy, że jesteśmy w samym środku łapanki, że musimy jechać na drugą stronę Wisły, na ulicę Targową, zdawać maturę. I że tam pojedziemy, choćby się ziemia waliła.

I właśnie wtedy podeszła do nas stara, siwa pani. Zwróciła ku nam pomarszczoną twarz. W oczach jej odbijała się wyraźnie troska.

— Panowie, na mieście odbywa się łapanka, na placu Trzech Krzyży — rzekła cicho. Wszyscy ostrzegali wszystkich przed łapankami, jak dawniej przed zarazą. — — A czy panów nikt nie zaczepia?

— Oprócz pani nikt — parsknął Andrzej.

Wskoczyliśmy w tramwaj i pojechaliśmy na Pragę. Za mostem szła aleja, z jednej strony granicząca z polem, z drugiej — z Saską Kępą, dzielnicą willową. A tam, u zamknięcia alei, rozstawiła się druga kolumna samochodów i czekała na tramwaje, jak tygrys na szlaku antylop. Wysypaliśmy się w biegu z tramwaju jak gruszki i przemknęliśmy naukos polem, zasadzonym świeżą jarzyną. Ziemia pachniała wiosną. Kwitła na polu dziewanna i brzęczały pszczoły. A w mieście, leżącym za rzeką, jak w głębokiej dżungli, odbywały się łowy na ludzi.

Kiedy przedarliśmy się do mieszkania na Targowej, w którym już czekał na nas dyrektor, przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej, wychowawca klasowy i profesor chemii, fala łapanki dopłynęła aż pod nasze okna.

Dyrektor był milczący. Słuchał uważnie odpowiedzi. Wychowawca, wysoki, dobroduszny pan, patrzył dobrotliwie na nas i pomagał nam wzrokiem. Nigdy nie mieliśmy opinii dobrych chemików, ani Andrzej, poeta i krytyk, ani Arkadiusz, malarz i filozof, ani ja. Blade nasze odpowiedzi wywoływały chytry uśmiech na twarzy egzaminatora, którego dla jego siwej brody nazywaliśmy w szkole Koziabródka. W istocie był to bardzo ceniony naukowiec.

Jakoś tam zdaliśmy. Wtedy Koziabródka rzekł:

— No, panowie (to panowie zaakcentowało naszą nową dojrzałość z chemii) — nie bądźcie głupi i nie dajcie się złapać.

Wskazał dłonią za okno, za którym kłębił się tłum, otoczony policjantami, i dodał, podnosząc do góry probówkę z jakimś czerwonym, okropnie złożonym płynem, którego wzór naprożno usiłował Andrzej wywieść na tablicy.

— Kiedy nie wiecie, w co wierzyć, wierzcie w chemię. Wierzcie w naukę. Przez nią wrócicie do człowieka.

Jednego tylko człowieka nie było wtedy między nami: tego płowowłosego Julka, wychowanka księży. Złapano go między Nowym Światem a Alejami i ślad po nim zaginął. Jesienią, gdy wstępowaliśmy na podziemny Uniwersytet, doniesiono nam, że Julek został wywieziony do Oranienburga, osławionego obozu pod Berlinem i że jeszcze żyje.

KSIĄŻKI

Przygody Pinokia

C. Collodi, Pinokio, Przygody drewnianej kukiełki, z włoskiego opracował J. Wittlin. Ilustrował J. Witz. Warszawa (1946). Wiedza str. 205.



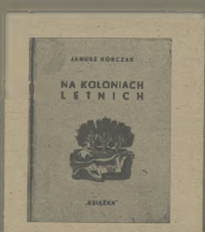
Książka o drewnianej kukiełce, która psotami dokuczała otoczeniu, aż — ukarana przez liczne przejścia życiowe — zrozumiała, że psocić nie należy i przemieniła się w żywego chłopca. Opowieść rozsnuta barwnie i pomysłowo przez dziennikarza włoskiego, a zręcznie spolszczona przez poetę, stanie się zapewne — obok Guliwera i Robinzona — ulubioną lekturą najmłodszych czytelników. Książkę zdobią staranne rysunki J. Witza, który zaprojektował również okładkę do „Pinokia". Warto wspomnieć, że przygody Pinokia przerobił na film rysunkowy Walt Disney.

Kl.

Testament Janusza Korczaka

Janusz Korczak. Na koloniach letnich. Warszawa 1946. Spółdz. Wydawn. „Książka", str. 151 + 4.

Janusz Korczak przez całe życie był nauczycielem, opiekunem i wychowawcą dzieci. Poświęcił im życie i zginął razem z nimi. Podczas likwidacji ghetta w Warszawie, Niemcy wywieźli do komór gazowych w Treblince sie-



[redacted] prowadzony przez Janusza Korczak, który nie chciał [redacted] wychowanków, poszedł razem z nimi do komory gazowej. Pozostała po nim pamięć szlachetnego człowieka, który umarł męczeńską śmiercią.

Janusz Korczak był również pisarzem. Dla pokolenia, które wchodziło w życie w latach 1918 — 1939 był niewzruszonym autorytetem moralnym. Jego książki o dzieciach, pisane językiem, używanym przez dzieci, wiernie, z wielką miłością i humorem oddawały świat dziecka, ale tylko pozornie były przeznaczone dla dzieci. Oczywiście, wzruszające przygody króla Maciusia, posiadające tyle elementów niewyszukanego, a przecież czarującego opowiadania dziecięcego, interesowały i będą interesować młodych czytelników, będą ich wzruszać i rozpalać. Ale sens tej opowieści, walka o lepszy świat, a także poszczególne, jakże symboliczne sceny (np. więzienie Maciusia) — ileż mają wymowy dzisiaj, po najstraszliwszej z wojen! Nie jest więc przypadkiem, że „Króla Maciusia" wydano po wojnie w Palestynie dla dzieci polskich emigrantów, a dwie książeczki Korczaka, złączone wspólnym tytułem „Na koloniach letnich", ukazały się obecnie nakładem „Książki".

Czytajcie tę książkę! Ta piękna opowieść o chłopcach i dziewczętach na koloniach letnich uczy szacunku i miłości dla człowieka. Opowieść o koloniach letnich — to testament duchowy Janusza Korczaka. Zapamiętajmy sobie jego wskazania i przyjmijmy nałożony na nas obowiązek: miłość ku dziecku i ku człowiekowi.

Kl.



Marjore Kinnan Rawlings

Roczniak

Przekład autoryzowany Adama Galisa. **5)**

Gąszcz zmniejszał się. Grunt był nieco niższy i zmieniał się w moczary. Światło słoneczne przebijało się poprzez zarośla i kładło plamy wielkie jak kosze. Rosły tam olbrzymie paprocie, sięgające ponad głowy myśliwych. Jedna paproć leżała zmiażdżona w miejscu, gdzie przeszedł niedźwiedź. Mocny zapach unosił się w ciepłym powietrzu. Zgnieciona latorośl wyprostowała się powoli. Penny pokazał ją palcem. Jody zrozumiał. Slewfoot przeszedł tędy zaledwie przed paroma minutami. Stara Julia trzęsła się nerwowo. Ślad był wyraźny i mokry. Zbadała wilgotną ziemię. Kraska przeleciała, ostrzegając zwierzęta okrzykiem.

Moczar graniczył ze strumieniem nie szerszym od słupa w płocie. Odcisk ogromnej łapy niedźwiedziej zajmował całą szerokość strumienia. Jakieś brązowe zwierzątko podniosło ciekawie łebek z wody i uciekło z prądem. Wielki ślad szedł dalej poprzez moczar. Jody spostrzegł, że koszula na grzbiecie ojca była mokra. Dotknął własnego rękawa. Był również wilgotny. Nagle Julia zaszczekała i Penny puścił się pędem.

— Rzeczka! — wykrzyknął. — Slewfoot chce się przeprawić przez rzeczkę!

Łoskot wypełnił bagno. Gałęzie trzeszczały. Niedźwiedź szedł, jak czarny huragan, łamiąc przeszkody. Psy wyły i szczekały. Harmider przyśpieszył w Jodym bicie serca. Potknął się o bambus, upadł i wstał znowu. Krótkie nogi ojca migały przed nim jak wiosła. Slewfoot chciał przeprawić się przez rzeczkę Juniper, zanim go psy osaczą.

Nad rzeczką rozciągała się otwarta przestrzeń. Jody widział czarny, niezgrabny kształt sadzący w stronę rzeczki. Penny zatrzymał się i podniósł broń. W tej chwili mały, brązowy pocisk skoczył ku kudłatej gardzieli. Stara Julia zwarła się z wrogiem. Doskakiwała i cofała się, a po chwili odwrotu atakowała znów. Rip walczył obok niej. Slewfoot toczył się i bił w Ripa. Julia chwyciła niedźwiedzia za bok. Penny złożył się do strzału, ale nie mógł strzelać z obawy o psy.

Stary Slewfoot stał się nagle zdradziecko obojętny. Wyglądał tak, jak gdyby był oszołomiony. Powolnie kluczył tam i nazad. Zaskomlał jak płaczące dziecko. Psy cofnęły się na chwilę. Była to świetna okazja do strzału. Penny wycelował, otarł kroplę potu z policzka i pociągnął za spust. Pot zrosił mu czoło. Kurek znów klasnął bezskutecznie. Wtedy ruszyła czarna burza. Pędziła na psy z niewiarygodną szybkością. Białe kły i zakrzywione pazury szły przed nią jak błyskawica. Niedźwiedź warczał, zgrzytał zębami i tłukł łapami we wszystkie strony. Psy były równie szybkie. Julia rzucała się na Slewfoota z tyłu a kiedy niedźwiedź zwrócił się przeciw niej, Rip skoczył mu do gardła.

Jody skamieniał ze strachu. Widział, że ojciec znów zwiódł spust i na pół pochylony, wilżąc wargi językiem, naciska spust. Stara Julia szamotała się z prawej strony niedźwiedzia. Lecz Slewfoot dał jej spokój i zabrał się ostro do brytana po lewej stronie. Chwycił go łapą za bok i rzucił w zarośla. Penny znów nacisnął spust. Wystrzał miał jakiś syczący dźwięk. Penny runął nagle w tył. Wystrzał spalił na panewce, fuzja odrzuciła strzelca.

Rip ponowił atak na gardziel niedźwiedzia, a Julia zaczęła tarmosić go od tyłu. Niedźwiedź znów był osaczony i kluczył. Jody podbiegł do ojca. Penny już wstał na równe nogi. Na prawym policzku miał czarną plamę od prochu. Slewfoot strząsnął z siebie Ripa, skoczył do Julii i zakrzywionymi pazurami chwycił ją i przygniótł do wielkiej piersi. Suka jęknęła boleśnie. Rip skoczył na niedźwiedzia i wpił zęby w jego skórę.

Jody krzyczał: — zabije Julię!

Penny rzucił się desperacko w sam środek walki. Wbił lufę fuzji między żebra Slewfoota. Julia, zduszona prawie w łapach niedźwiedzia, zdołała wgryźć się w czarną gardziel. Slewfoot ryknął, odwrócił się nagle i pobiegł brzegiem w głęboką wodę. Ale psy nie dawały mu spokoju. Niedźwiedź płynął jak szalony. Z wody wystawała tylko głowa Julii, tuż pod mordą niedźwiedzia. Rip zaś siedział Slewfootowi na karku. Niedźwiedź dotarł do drugiego brzegu i wgramolił się pod górę. Julia rozluźniła chwyt i wyczerpana walką upadła na ziemię. Niedźwiedź uciekał w stronę gęstych krzaków. Rip jeszcze raz zrównał się z nim. Nagle wystraszył się, odstąpił i niepewnie wrócił w stronę rzeczki. Obwąchał Julię i siadł przy niej na zadnich łapach a jego wycie rozpłynęło się nad wodą. Zdala rozległ się hałas w zaroślach i ucichł.

— Penny krzyczał: — Rip do nogi! Julia do mnie!

Rip poruszył krótkim ogonem i nie ruszył się z miejsca. Penny przyłożył róg myśliwski do warg i zadął pieszczotliwie. Jody ujrzał jak Julia podnosi pysk i znów pada na ziemię.

Penny powiedział: — Pójdę i przyniosę ją.

Ściągnął buty i ześlizgnął się po zboczu nad rzeczką. Wszedł do wody i energicznie parł naprzód. Lecz gdy znalazł się o parę metrów od brzegu, chwycił go prąd i uniósł jak kłodę. Penny walczył z nurtem, usiłując wydostać się na płytsze miejsce. Jody ujrzał ojca, wychodzącego z rzeczki, chwiejącego się na nogach. Penny wytarł mokrą twarz, oczy i poszedł pod górę w stronę psów. Ukląkł, zbadał Julię, objął ją ramieniem i podniósł. Tym razem poszedł nieco w górę rzeczki i wybrał dogodniejsze miejsce do przejścia. A kiedy wszedł do wody, pływając jedną ręką, prąd porwał go i nieomal zaniósł do tego miejsca, gdzie stał Jody. Rip płynął za Pennym, wylądował pomyślnie i otrząsnął się. Penny położył ostrożnie Julię na ziemię.

— Jest mocno poturbowana — powiedział. Zdjął koszulę i owinął psa. Związał rękawy koszuli tak, że powstał rodzaj worka i ostrożnie zarzucił sobie ładunek na plecy.

— To już rzecz postanowiona — powiedział — muszę sobie sprawić nową fuzję.

Na policzku, opatrzonym przez wybuch prochu, powstał bąbel.

— Co się stało, tato?

— Dawno mi to już doskwierało. Kurek się obluźnił w fuzji. Wiedziałem o tym. Już parę razy zabierałem się do naprawienia. Ale po dzisiejszym wybuchu widać, że główna



sprężyna jest za słaba. Trzeba wracać. Weź tą nieszczęsną, starą pukawkę.

Orszak zmierzał w stronę domu poprzez trzęsawiska. Penny skierował się na północny zachód.

— Nie zaznam tak długo spokoju, aż zabiję tego niedźwiedzia — powiedział — a teraz potrzebna mi tylko nowa strzelba, no i czas.

Jody poczuł nagle, że nie może znieść widoku zakrwawionej paczki przed sobą. Krople krwi spływały po wąskich plecach ojca.

— Chciałbym pójść przodem, tato.

— Nie rób-że mi przykrości i nie zemdlej czasem.

— Mógłbym ci torować drogę.

— Pięknie! Ruszaj naprzód. A weź torbę, Jody. Posil się. Podjedz sobie. To ci dobrze zrobi.

Jody naoślep wsadził rękę do torby i wydobył zawiniątko z naleśnikami. Powidła z jagód tarniny były cierpkie i zimne. Aż wstyd mu było, że mu tak smakują. Kilka naleśników podał ojcu.

— Jedyna pociecha w tej niedoli — mruknął Penny.

W zaroślach rozległ się skowyt. Jakiś mały, pokurczony stwór wlókł się za nimi. Był to Perk. Jody kopnął go ze złością.

— Daj mu spokój! — zawołał Penny. — ja go już dawno podejrzewałem. Bo widzisz, są psy które się nadają do polowania na niedźwiedzie i takie, co się nie nadają.

Perk kuśtykał na szarym końcu orszaku. Jody usiłował torować drogę, ale leżały na niej pnie zwalonych drzew, grubsze od niego i nie sposób było ruszyć ich z miejsca. Oplątywały go ze wszech stron ljany grubsze od mięśni Pennyego. Jody mógł iść naprzód nakładając drogi i okrążając je, albo czołgając się pod nimi. Penny obładowany ciężarem krwawiącej Julii, musiał sobie sam radzić. Trzęsawisko było otoczone borem i grząskie. Rip dyszał ciężko. Jody czuł wciąż jeszcze smak doskonałych naleśników. Sięgnął do torby po placek kartoflany. Penny nie przyjął swojej części, więc Jody podzielił się sprawiedliwie z Ripem. A Perk — pomyślał — nie zasługuje na nic.

Wielką ulgą było wydostanie się z moczarów i wejście w las sosnowy. Puszcza, która ciągnęła się jeszcze z kilometr lub dwa, była bez porównania łatwiejsza do przebycia. O ileż mniej męczyła droga między korzeniami dębów, palm, gęstymi zaroślami karłowatych krzaków, niż przedzieranie się przez bagniska. Późną, popołudniową porą ukazały się pierwsze sosny. Wyspy Baxterów. Wędrowcy znaleźli się na piaszczystej drodze wschodniej, wiodącej wprost do domu. Rip i Perk wysforowali się naprzód, by napić się wody ze specjalnych koryt, wydrążonych w cyprysowym drzewie a przeznaczonych na wodopój dla kur. Ma Baxter siedziała na wąskiej werandzie, z paczką robótek na podołku.

— Martwy pies a niedźwiedź gdzieś! — krzyknęła.

— Pies jeszcze zipie. Daj mi prędko wody, gałganów, dużą igłę i nici.

Ma Baxter zakrzątnęła się żwawo. Jody zdumiewał się zawsze ruchliwością jej olbrzymiego ciała i podziwiał sprawność matczynych rąk w chwilach potrzeby. Penny położył starą Julię na podłodze ganku. Suka jęknęła. Jody pochylił się, by ją pogłaskać. Julia warknęła i wyszczerzyła kły. Poszedł do matki zmartwiony. Rwała właśnie stary fartuch na pasy.

— Przyniósłbyś lepiej wody — powiedziała, więc pobiegł do kotła.

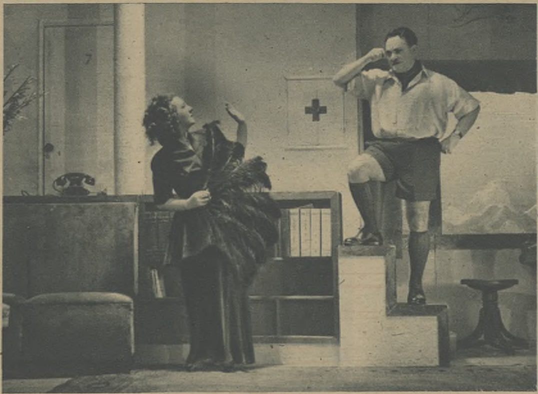
Ojciec wrócił na ganek z naręczem worków. Przygotował łoże dla Julii. Ma Baxter przyniosła narzędzia chirurgiczne. Penny ściągnął z za pasa koszulę, która przesiąkła krwią, następnie przemył głębokie rany. Stara Julia nie przeszkadzała tym czynnościom. Nieraz już miała w swym życiu do czynienia z niedźwiedzimi pazurami. Penny zaszył dwa największe rozdarcia i potarł je żywicą. Suka jęknęła jeden raz, a potem w milczeniu poddawała się jego troskliwym zabiegom. Żebro jest złamane, oświadczył Penny. Niestety, nie mógł na to poradzić, ale sądził, że jeśli Julia wyżyje po tych ciężkich obrażeniach, żebro zagoi się samo. Julia straciła również wiele krwi. Oddychała z trudem. Penny podniósł ją razem z workami podściółki.

— Dokąd ją niesiesz? — zapytała Ma Baxter.

— Do sypialni. Będę czuwał przynajmniej w nocy.

* * *

TEATR



Irena Oberska i Stanisław Iwański jako pacjenci sanatorium dla nerwowo-chorych.

„PRZYJACIEL PRZYJDZIE WIECZOREM" — TEATR POWSZECHNY

Dramat jest rodzajem, który później od powieści, czy poezji reaguje na tematykę aktualną. Najważniejsza przyczyna leży bodaj w tym, że utwór sceniczny wymaga dużej dozy obiektywizmu, a więc dojrzałego i spokojnego ustosunkowania się do przedstawianych zdarzeń i postaci. Dramat oparty jest na grze dwóch sprzecznych sił; aby był żywy i prawdziwy, każda z nich musi mieć pozorną bodaj słuszność, umotywowany i zrozumiały sposób działania.

Polscy autorzy dramatyczni sięgający do zagadnień ostatniej wojny (jak Zawieyski w „Mężu doskonałym", czy Szaniawski w „Dwu teatrach") ominęli ową trudność w ten sposób, że nie pokazali w swych utworach Niemców. Ograniczyli się do problematyki dotyczącej wewnętrznych spraw społeczeństwa polskiego, ujmując ją w formę teatru filozofującego i poetyckiego.

Sztukę innego zupełnie typu pokazał nam ostatnio Teatr Powszechny w Warszawie. To „Przyjaciel przyjdzie wieczorem" francuskich autorów Jacque'a Companeez'a i Nöe'go. Nie znajdziemy w niej usiłowań pogłębienia zagadnień narodowych, czy próby sądu nad doświadczeniami wojennymi. Nie znajdziemy również wartości historycznych — dokumentarnego obrazu francuskiego Ruchu Oporu. Sztuka ma charakter wyłącznie rozrywkowy — jej celem jest zainteresowanie widza; dostarczyć mu potężnej dawki silnych wrażeń i emocji. Legitymacją wartości społecznej „Przyjaciela" są tendencje humanitarne i anty-niemieckie.

Tak pojęte zadanie utwór spełnia dobrze. Autorzy wpadli na niezwykły pomysł umiejscowienia wypadków w zakładzie dla obłąkanych. Tutaj chroni się centrala komórki konspiracyjnej, bojowcy pomysłowo symulują choroby umysłowe i ukrywają się między prawdziwymi chorymi. Agent kontrwywiadu, wyprany z ludzkiej etyki Szwab, wpada na ich trop i również podstępem dostaje się do zakładu. Rozpoczyna się sensacyjna akcja pełna niespodzianek i dramatycznych spięć. Autorzy francuscy nie uniknęli przytem błędu, jaki przytrafił się i rosyjskiemu reżyserowi Pyriewowi w jego filmie: „Sekretarz Rejkomu". Otóż szpieg niemiecki jest właściwie „najmocniejszą" postacią sztuki. Jego odwaga, silna wola i pogarda śmierci są scenicznie wyrazistsze od „ludzkiej" sylwetki komendanta Ruchu Oporu. Jest to bowiem prawo teatru, że postać nawet ujemna, ale dynamiczna, zdecydowanie postawiona — więcej przemawia do wodza, niż postać przeżywająca załamania, choćby i dodatnia. W przedstawieniu warszawskim podkreślono to jeszcze niewłaściwą obsadą ról. Niemca grał z impetem Zbigniew Koczanowski, Francuza — Jerzy Block, aktor skłonny do hamletyzowania.

Dla publiczności polskiej ów Niemiec jest w ogóle dość egzotyczny. Prowadzi śledztwo coprawda bezwzględnie, ale bez brutalności, konspiratorów traktuje, jako równorzędnych partnerów w walce. Czyżby hitlerowcy we Francji byli tak eleganccy? Tłumaczone na język polski opowiadania Louis Aragon'a mówią zupełnie co innego. Postawienie więc sprawy przez i Noe'go uznać Companeez'a musimy za błąd, za ustępstwo na rzecz omówionej we wstępie konwencji dramatycznej, a rezygnację z realizmu.

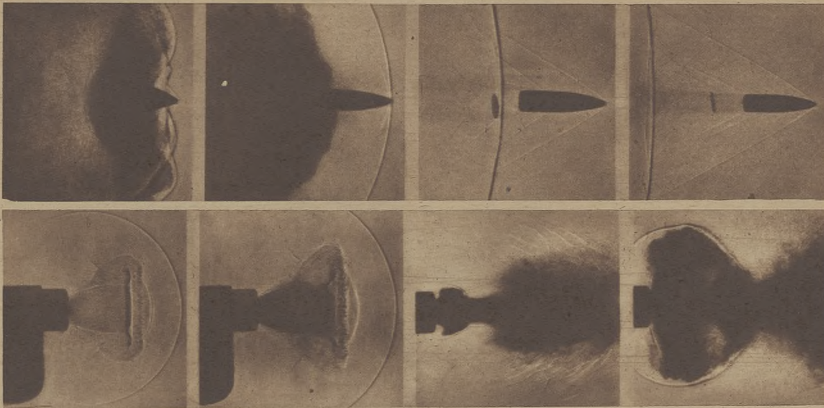
„Przyjaciel przyjdzie wieczorem" (tytuł sztuki, to hasło partyzantów na rozpoczęcie akcji) został wystawiony przez Teatr Powszechny starannie. Z licznej obsady wyróżnić należy raczej odtwórców ról drugo planowych: Bay-Rydzewskiego (dyrektor zakładu), Owerłę (jeden z autentycznych wariatów), Peteckiego (Anglik Robert) — a przede wszystkim anonimową dziewczynkę (Ewa Janecka, oznaczona w programie trzema gwiazdkami), która sugestywnie i prawdziwie oddała dramatyczny epizod małej łączniczki — mimowolnej zdrajczyni. Widzimy ją na okładce tego numeru „Świata Młodych".

Stanisław Marczak-Oborski



Marcin Bay-Rydzewski w roli lekarza

FOTO — BURZYŃSKI



1

W MILIONOWEJ CZĘŚCI SEKUNDY

Każdy z nas, kto przeszedł przeszkolenie w P. W. lub miał styczność z wojskiem, wie dobrze co się dzieje z wystrzelonym pociskiem od chwili, gdy opuści on lufę. Pocisk pędzący w powietrzu z szybkością początkową kilkakrotnie większą niż prędkość rozchodzenia się głosu (700 — 1000 m/s) zanim trafi w cel zatacza pewną krzywą t. zw. „balistyczną", którą od dawien dawna matematycy i artylerzyści potrafili wyliczyć. Jednak sfotografowanie tak szybko lecącego przedmiotu natrafiało na wielkie przeszkody. W ciągu drugiej wojny światowej naukowcy — fotografi rozwiązali ten problem i powyższe zdjęcia przedstawiają nam właśnie urządzenia laboratorium balistycznego w Cambridge (Anglia) oraz wyniki ich prac. Fotografie ultra-szybko poruszających się przedmiotów są ważne nie tylko dla przemysłu zbrojeniowego, artylerii itp., ale również dla nauk przyrodniczych, gdzie chodzi o zdejmowanie np. owadów, które latają z wielką prędkością.

Najbardziej precyzyjna migawka aparatu fotograficznego pozwala wykonać zdjęcie najwyżej w czasie 1/1000 sek. Ponieważ przez ten czas pocisk wylatujący z lufy przebiega drogę równą 1 metrowi, przeto o uzyskaniu ostrego obrazu nie mogło być mowy. Rozwiązania trzeba było szukać na innej drodze.

Na opustoszałych, wapiennych wzgórzach w okolicy Cambridge zbudowano domek z dwoma otworami, poprzez które przelatywał pocisk. Wewnątrz zainstalowano szereg mikrofonów, z których pierwsze trzy określały szybkość lecącego pocisku, a czwarty, w momencie gdy pocisk go mijał, włączał automatycznie aparat wytwarzający iskry. Dwadzieścia pięć kolejnych iskier zapalających się i gasnących jedna za drugą rozbłyskiwało wzdłuż drogi pędzącego pocisku. Każda z nich dawała bardzo silne światło i trwała niesłychanie krótko, bo zaledwie 1/1000000 część sekundy. Naprzeciwko rzędu iskier ustawiano aparaty fotograficzne odpowiednio zsynchronizowane, które zdejmowały sylwetkę, cień lecącej kuli. Cała procedura odbywała się oczywiście w ciemności i jeśli by ktoś stojący w środku budynku w nieodpowiednim momencie mrugnął oczami, mógłby w ogóle nic nie zauważyć, tak szybko iskry rozbłyskiwały i gasły. W ten sposób, dosłownie przy świetle „błyskawic" powstały pierwsze zdjęcia, noszące nazwę „zdjęć cieniowych".

Następnym etapem pracy pozwalającym zdejmować lecący pocisk nie tylko w ciemności, ale i przy normalnym dziennym świetle, było zastosowanie „arditronu", przyrządu, który daje światło tysiąc razy silniejsze niż najpotężniejsze reflektory lotnicze. Zapala się on na przeciąg 1/1000000 części sekundy i przez ten czas za pomocą zwykłego aparatu fotograficznego, pędząca kula zostaje utrwalona na kliszy.

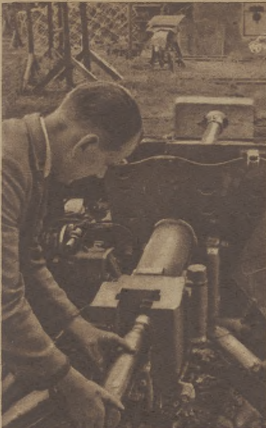
1) Fotografie cieniowe zdjęte w jednej milionowej części sekundy. Moment wylotu zwykłego pocisku karabinowego z lufy. Na pierwszych zdjęciach widzimy wypchnięte powietrze. Po nim wylatują gazy powstałe naskutek wybuchu prochu. Lecący pocisk stwarza własne wiry i prądy powietrzne. Na ostatnich zdjęciach drobne cząstki odrywają się od pocisku.



2



3



2) Pocisk przeciwpancerny wagi 1 kg opuszcza lufę działka z szybkością 800 m/sek.

W momencie, gdy dotknie on wystających drutów następuje automatyczne zapalenie iskry, które trwa zaledwie 1/1000000 część sekundy. Równocześnie sprzężony aparat fotograficzny dokonuję zdjęcia.

3) Na zdjęciu wykonanym zapomocą zwykłego aparatu fotograficznego widać jedynie, że biały, papierowy ekran, służący za tło, rozerwał się na strzępy w chwili wystrzelenia pocisku z armatki V panc. Aby uzyskać fotografię samego pocisku trzeba użyć środka światła przeszło tysiąc razy potężniejszego od najsilniejszych reflektorów lotniczych.

4) Przeciwpancerny pocisk, wagi trzech kg, zostaje wystrzelony poprzez otwór w ścianie do „studio", gdzie specjalne aparaty sfotografują go w momencie przelotu. Następnie, poprzez otwór w ścianie przeciwległej opuszcza budynek.

5) 3 kg pocisk przelatuje wewnątrz „studio" obok zainstalowanego mikrofonu. Fale powietrzne wzbudzone pędem pocisku dochodzą do mikrofonu, który automatycznie włącza aparat wytwarzający iskrę, która trwa zaledwie 1/1000000 część sekundy. Powyższe zdjęcie dokonano za pomocą zwykłego aparatu fotograficznego. Tajemnica tych ultra-szybkich zdjęć polega na niesłychanej sile światła i niebywałej krótkości trwania iskry.

PICTURES - POST





NASZ WIEK XX

Wojowniczy staruszek

Niewątpliwie Włochy pozbyły się dzięki taktownej abdykacji Wiktora Emanuela — jednego z najbardziej wojowniczych staruszków naszej epoki.

Wiktor Emanuel ma na swym koncie następujące wypowiedzenia wojny:

Rok. 1911 — Turcji,
„ 1915 — Austro-Węgrom,
„ 1915 — Niemcom,
„ 1936 — Abisynii,
„ 1940 — Francji,
„ 1940 — Anglii,
„ 1940 — Grecji,
„ 1941 — Jugosławii,
„ 1941 — Zw. Radzieckiemu,
„ 1942 — St. Zjednoczonym,
„ 1945 — Japonii,

Statystyka ta nie obejmuje wojny, prowadzonej przeciwko Albanii i Hiszpanii republikańskiej, które były wojnami bez wypowiedzenia. Wiktor Emanuel ma na swym koncie dwa przymierza z Niemcami i dwa wypowiedzenia wojny byłemu sprzymierzeńcowi... Komu teraz wypowie wojnę, siedząc za piecem u króla Faruka?

Chyba... Włochom?

„Głos Ludu" nr. 644

Nadesłał J. Kołodziejczyk, Warszawa, ul. [illegible]

Bezpieczeństwo sąsiadów Niemiec...

Minister spraw wewnętrznych Westfalii, dr. Menzel, w przemówieniu do docentów Uniwersytetu w Monastyrze żądał wyjaśnienia sprawy niemieckich granic zarówno wschodnich jak i zachodnich, bowiem jest to konieczne dla odbudowy niemieckiej jedności. Podstawą tej jedności — powiedział dr Menzel — może być tylko konstytucja ogólno - niemiecka oraz zachowanie starych granic Rzeszy. „Bezpieczeństwo naszych sąsiadów — powiedział dosłownie dr Menzel — nie może się opierać na rewizji granic, lecz na demokratycznym światopoglądzie narodu niemieckiego".

Edmund Osmańczyk „Przekrój" Nr. 21 Kraków

Nad. Z. Kalinowski. Kikół.

Dwie zdobycze naukowe:

amerykańska

W Hollywood skonstruowano aparat do mierzenia fotogeniczności aktorów. Przy pomocy tego aparatu mierzy się dokładnie twarz aktora filmowego, tak, że na podstawie dokonanych pomiarów można sporządzić maskę plastyczną, ważną zwłaszcza przy dublowanych rolach filmowych. Dotąd wykonano 12.000 pomiarów fotogeniczności.

radziecka

Pracownica centralnego onkologicznego instytutu w Moskwie Potorka opracowała prosty sposób, na podstawie którego można postawić diagnozę raka. Krew człowieka promieniuje w minimalnym natężeniu z ciała człowieka, a zmiany zachodzące podczas tego procesu są wynikiem rozwijającego się w organizmie raka. Jest to najwcześniejszy objaw, występujący o wiele wcześniej aniżeli inne, i wykrycie go daje możność uleczenia tej niebezpiecznej choroby.

„Trybuna Robotnicza"

Nad. T. Maniński, Bojanowo Poznańskie.

Czytelnicy proszeni są o nadsyłanie krótkich, nie przekraczających 150 słów anegdot, informacji i cytatów, ilustrujących kontrasty obyczajowe, etyczne i kulturalne naszego wieku, zawsze z dokładnym podaniem źródła. Za każdą opublikowaną w tej rubryce anegdotę Redakcja wypłaci przesyłającemu 100 zł. Listy prosimy adresować: „Świat Młodych", Warszawa, ul. Grażyny 8, „Nasz wiek XX".

UWAGA na Niemcy!


Jakub Kaiser


Wilhelm Kulz


Franz Neumann


Max Fechner


Dr Otto Ostrowski


Kardynał Frings


Niemoeller


Dibelius

Kult siły i nienawiści w szkołach niemieckich

W prasie niemieckiej rozwinęła się szeroka dyskusja dokoła nauczania historii w szkołach. W jednym z pism czytamy: Nauczanie historii w szkołach niemieckich ugruntowane było na fałszywej czci bohaterów, która miała zapach krwi. Dlatego każda wyprawa rabunkowa była wojną obronną, a problematyczny wynalazek 19 stulecia — nacjonalizm — otrzymał w historii niemieckiej czcigodną opinię. Przy wrzasku trąb i warkocie werbli, wśród krzyków hurra i dymów wojny milkły głosy jednostek światłych i tych, co życie poświęcili dla dobra ludzkości.

Po pierwszej wojnie światowej poczyniono wprawdzie pewne kroki celem reformy nauczania historii w szkołach w kierunku powszechnego rozwoju kulturalnego. Ale liczba bitew i zdobyczy w dalszym ciągu zajmowała najszersze miejsce, a krwawy wódz i brutalny zabójca pozostali nadal ideałem dążeń młodego pokolenia. Gdy następnie przyszło „wielkie zamglenie" (die grosse Vernebelung) nauczanie historii służyło już tylko jedynemu celowi, aby z własnego narodu stworzyć sól ziemi.

Nowe podręczniki historii niemieckiej, które ma otrzymać do rąk nauczyciel i młodzież niemiecka, muszą zawierać sylwetki wielkich poetów, muzyków i malarzy, wynalazców, badaczy i naukowców, filozofów i polityków. Muszą one usunąć w cień najgrubszych królów i marszałków i chłopcom oraz dziewczętom, którzy chcą pójść drogą dziejów ludzkości, pokazać, że duch jest silniejszy od miecza, że książęta byli częstokroć przeszkodami komunikacyjnymi, że wojny były zawsze ciężkimi doświadczeniami losu i że piękne, interesujące i wzruszające życie biegło poprzez inne pola, a nie przez spalone i cuchnące ugory wojny.

Głosy takie, jak wyżej cytowany, są w Niemczech niestety bardzo rzadkie i giną bez echa. Faktyczny zaś stan rzeczy w szkolnictwie niemieckim jest — z wyjątkiem strefy sowieckiej — taki, że stanowi niejako dalszy ciąg wczorajszej lekcji, przerwanej tylko przymusowo zarządzoną przerwą. Podręczniki, ocenzurowane już (!) przez anglosaskie władze okupacyjne, nadal pełne są ziejących nienawiścią do Polski fałszów historycznych na poziomie propagandy hitlerowskiej. T. zw. ciało nauczycielskie składa się z b. aktywnych członków partii narodowo-socjalistycznej, którzy wrócili na dawne stanowiska po otrzymaniu „Persilschein'u" jak Niemcy nazywają ironicznie orzeczenia izb denazyfikacyjnych. Duch, panujący w salach wykładowych i izbach szkolnych zachodnich Niemiec, przepojony jest skrajnym nacjonalizmem i kultem fanatycznego hitleryzmu. Wychowuje się tam nowe pokolenie krwawych oprawców, których w interesie pokoju i bezpieczeństwa świata trzeba trzymać w ryzach surowej kontroli międzynarodowej.

B. Danielewski

Niemieckie głowy — niemieckie oblicza

W chwili, gdy w Moskwie rozpoczynają się obrady nad przyszłym losem Niemiec, warto spojrzeć w twarz tych ludzi, którzy w obecnej chwili odgrywają w narodzie niemieckim rolę polityków, o mniejszym lub większym znaczeniu i zasięgu. Galeria „mężów stanu", jakim to mianem Niemcy z dużym niejako rozsmakowaniem określają swych przywódców partyjnych, a którą zamieszczamy obok, pozwala nam przypatrzeć się bliżej niemieckim głowom i niemieckim obliczom. Jedną cechę mają one wszystkie wspólną: zawziętość, złą, ponurą zawziętość.

Jakub Kaiser

Przywódca t. zw. chrześcijańskiej demokracji niemieckiej (CDU) we wschodnich Niemczech. Był do r. 1933 przywódcą chrześć. związków zawodowych. Stosunek do Polski: wrogi.

Wilhelm Kulz

Przywódca t. zw. liberalnej demokracji niemieckiej (LDP) we wschodnich Niemczech. Był ministrem spraw wewnętrznych za czasów republiki wejmarskiej, później zaś burmistrzem Drezna. Stosunek do Polski: wrogi.

Franz Neumann

Jeden z najbliższych współpracowników Schumachera, przywódca berlińskiej socjaldemokracji (SPD). Niemcy doszukują się w nim podobieństwa fizycznego do Hessa. Stosunek do Polski: wrogi.

Max Fechner

Jeden z przywódców niemieckiej partii jedności socjalistycznej (SED). Do r. 1933 był członkiem zarządu socjaldemokracji (SPD). Stosunek do Polski: nieprzyjazny.

Dr Otto Ostrowski

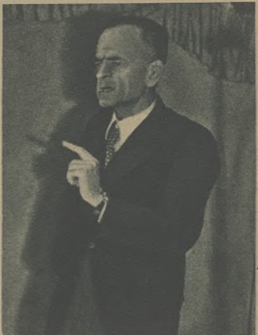
Nadburmistrz Berlina, członek partii Schumachera. Ma polskie nazwisko i jest ponoć potomkiem jakiegoś renegata.

Kardynał Frings

Arcybiskup Kolonii występuje przeciw tezie o zbiorowej winie narodu niemieckiego i twierdzi, że nie odpowiada on za zbrodnie popełniane przez hitlerowców. Protestuje gwałtownie przeciw wysiedlaniu Niemców ze wschodu i napada na Polskę.

Niemoeller-Dibelins

Znany pastor niemiecki dr. Martin Niemöller (na zdjęciu pierwszy z lewej) w czasie pierwszej wojny światowej kapitan niemieckiej łodzi podwodnej, nacjonalista najczystszej krwi, usiłuje obecnie głoszeniem wzniosłych myśli i szlachetnych haseł wywołać w świecie wrażenie, że są jednak i porządne Niemcy. Na zdjęciu pośrodku biskup aglikański dr. Bell, z prawej ewangelicki biskup Berlina Dibelius w czasie wizyty w Londynie u biskupa Chichester.



Schumacher

A oto osławiony krzykacz i polakożerca, wypierający się hitleryzmu, a postępujący zupełnie tak samo: dr. Kurt Schumacher, przywódca SPD. Patrząc na jego podobiznę, zadajemy sobie pytanie: błazen to, czy nowy zły duch narodu niemieckiego.

Wymiana listów

Amerykański dziennik dla ludności niemieckiej „Die Neue Zeitung", wychodzący w Monachium, podaje że za zgodą min. spraw zagranicznych i wojny Stanów Zjedn. młodzież niemiecka od 12 — 39 (!) roku życia może nawiązać kontakt pisemny z amerykańskiemi organizacjami i stowarzyszeniami młodzieżowymi. Kierownictwa organizacji opieki społecznej nad młodzieżą w Ameryce zostały w specjalnym okólniku pouczone, aby na listy, otrzymywane z Niemiec, odwrotnie odpowiadały.

OBOZY CZY SANATORIA

Obozy dla internowanych, w których, w myśl rozkazu amerykańskiej Kwatery Głównej w Niemczech na wiosnę r. 1945, miały być umieszczone pewne grupy hitlerowców, którzy zajmowali w Trzeciej Rzeszy eksponowane stanowiska partyjne lub rządowe — nie były obozami pracy. Stosunki w tych niezwykłych obozach były od samego początku prawdziwie sielskie i angielskie. Jedno z pism niemieckich „Mittelbayerische Zeitung", odsłaniając kulisy tych obozów, które nazywa po prostu „faszystowsko - hitlerowskimi sanatoriami" podaje nast. szczegóły „z życia internowanych": W obozach jedynym dopuszczalnym pozdrowieniem jest nadal „Heil Hitler".

Internowani otrzymują dziennie 2.000 kalorji pożywienia i mogą samochodami udawać się do swych krewnych i znajomych, aby przywieźć sobie dodatkowo żywność. Wina i najlepszych wódek jest w obozie poddostatkiem. Za opłatą 600 marek internowani otrzymują świadectwa denazyfikacyjne od swoich Izb Orzekających (Spruchkammer).



Dhamvunti Rama Rao, bojowniczka o prawa hinduskiej kobiety.



8 MARCA — MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ KOBIET

Ostatnia wojna światowa, postawiła kobietę w samo centrum działalności politycznej i społecznej. Historia każdego niemal ruchu oporu czy walki regularnej z faszystowskim najeźdźcą zawiera piękne karty bohaterstwa kobiet, ich męstwa i wytrwałości w walce o wolność. Ta właśnie dojrzałość polityczna oraz głęboka nienawiść do wojny i faszyzmu nie pozwoliły kobiecie nazajutrz po wojnie spocząć na laurach. Trzeba było znaleźć jakąś formę oddziaływania na politykę międzynarodową, aby przyczynić się do zniszczenia wszelkich zarodków przyszłej wojny. To dążenie, oparte o poczucie solidarności międzynarodowej, znalazło już w grudniu 1945 roku wyraz w utworzeniu Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet.

Organizacja ta, na której czele stanęły kobiety tej miary, co: Dolores Ibarruri „Passionaria", Marie Vaillant-Couturier, Eugene Cotton, Nina Popowa, Anna Pauker i inne, skupiła w krótkim czasie ponad 80 milionów kobiet — demokratek. Obok kobiet Europy i Ameryki znalazły się po raz pierwszy w oragnizacji kobiecej mieszkanki krajów kolonialnych i pół-kolonialnych: Murzynki, Chinki, Hinduski, obywatelki Madagaskaru i Korei. Obok hasła utrzymania pokoju wysunęło się na czoło programu Federacji zagadnienie walki z bezrobociem, dla kobiety równie ważne i nienawistne, jak wojna. Następnymi punktami programu są sprawy równouprawnienia kobiet w koloniach i umasowienia oświaty.

Pierwszy Kongres Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet uchwalił, że 8-y marca będzie dniem międzynarodowego święta kobiet.

W większości państw ustawa konstytucyjna zapewnia kobiecie równouprawnienie, ale jakże różnie kształtują się losy kobiet w poszczególnych krajach! Nie ulega wątpliwości, że najwięcej praw i możliwości ma kobieta w Związku Radzieckim. Już od pierwszych dni istnienia władzy radzieckiej kobiety były licznie reprezentowane we wszystkich dziedzinach życia państwowego i społecznego. Obecnie Związek Radziecki posiada 250 tysięcy kobiet inżynierów i techników, 350 tysięcy kierowników brygad rolnych, 750 tysięcy nauczycielek, 254 tysiące traktorzystek, 100 tysięcy kobiet lekarzy. Przeszło 100 kobiet uczonych, artystek i pisarek otrzymało Nagrodę Stalinowską. 120 tysięcy kobiet nagrodzono za udział w ostatniej wojnie, z czego 62 kobiety otrzymały tytuł „Bohatera Związku Radzieckiego".

Włodzimierz Lenin rzucił niegdyś hasło: „Każda kucharka powinna uczyć się rządzić państwem". Hasło to znalazło w Związku Radzieckim szeroki odzew. Robotnikom fabrycznym poruczano kierownictwo fabryk, a chłopkom — kierownictwo kołchozów. Nauczycielki zarządzały wielkimi ośrodkami oświatowymi, a kucharki, — a kucharki zostawały nawet ministrami. Np. Praskowia Kalinkina, obecny minister Przemysłu Żywnościowego Czuwaszskiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej, była niegdyś Kucharką.

Dzieje Kalinkinej to typowe koleje losu wielu wybitnych kobiet Związku Radzieckiego... Matka jej umarła wcześnie. Kilkuletnia dziewczynka zdana na własne siły zaczęła się tułać po świecie. Wynajęła się do pracy u bogatego gospodarza wiejskiego. W dzień pracowała przy lnie, w nocy pasła konie. Za pierwsze zarobione pieniądze przyjechała do Petersburga, aby tam szukać szczęścia. Petersburg nie przyjął jej przychylnie. Została służącą w domu zamożnego kupca. Po Rewolucji Październikowej Kalinkina pokochała czerwonoarmistę Czuwasza i przeniosła się z nim do stolicy Czuwaszii — Czeboksaru. Nie mając żadnego zawodu została pomywaczką w stołówce fabrycznej, potem awansowała na kucharkę w szpitalu, gdzie pracowała 6 lat. Pewnego dnia zdarzyło się coś, co wywołało w jej życiu przewrót. Kalinkinę, zwykłą robotnicę, wybrano do Rady Miejskiej Czeboksaru. Po raz pierwszy w życiu przykro odczuła swój brak wykształcenia. Radny miasta, który nie umie dobrze pisać! Myśl ta nie dawała Kalinkinej spokoju... W końcu ta prawie trzydziestoletnia kucharka, matka podówczas trojga dzieci, nie chcąc być gorszą od innych radnych miasta, postanowiła rozpocząć naukę i zapisała się do szkoły dla dorosłych. Liznąwszy nieco wiedzy, zapragnęła pogłębić swoje wiadomości. Zapisała się do wyższej szkoły marksizmu, kończąc równocześnie jako eksternistka szkołę dziesięcioletnią. W końcu stanęła przed nią otworem Akademia Przemysłowa. A dla Kalinkinej, absolwentki wyższej uczelni, otworzyły się szerokie możliwości. Natychmiast po ukończeniu akademii poruczono jej funkcję pełnomocnika rządu dla spraw wyżywienia kraju. Równocześnie obrano ją przewodniczącą Stołecznej Rady Miejskiej. Wybitny talent organizacyjny Kalinkinej i jej niespotykana wprost pracowitość zyskiwały jej coraz to większy szacunek. Kalinkina została najpierw zastępcą komisarza ludowego, a w krótkim czasie — ministrem. Od 5 lat pełni „Praskowia Iwanówna", jak ją powszechnie nazywają, funkcję ministra.

Kobieta nie ma podobnego startu życiowego tam, gdzie stosunki społeczne oparte są na wyzysku i ucisku, tam, gdzie powtarzająca się raz po raz fala bezrobocia pozbawia pracy i chleba w pierwszym rzędzie kobietę. Taki właśnie los przypadł w udziale milionom kobiet w koloniach. I tak np.: w Indiach z 85 milionów kobiet pełnoletnich tylko 4,5 miliona ma prawo głosu i to tylko na podstawie cenzusu majątkowego swych mężów. Tylko niecałe 2% kobiet umie czytać i pisać. Kobiety hinduskie od najmłodszych lat uginają się pod ciężarem kłopotów dnia codziennego: troszczą się o żywność, o dach nad głową, o uiszczenie długo, które zaciąga się u obszarnika, czy wiejskiego lichwiarza. Czynniki rządzące w Indiach robią wszystko, aby taki stan zacofania i ciemnoty utrzymać jak najdłużej. Ale kobiety hinduskie coraz częściej podnoszą głos protestu i domagają się zmiany swojego położenia.

Gazeta hinduska „People Age" zamieściła list chłopki Mini Roi Czaudhari do premiera prowincji Bengali. Mini Roi zaprasza premiera, aby odwiedził jej wieś.

„Po pierwsze spotka się pan u nas — zachęca premiera chłopka hinduska — z mnóstwem kobiet, które z niemowlętami na ręku błąkają się po wsi w poszukiwaniu pracy. One to właśnie, nie znalazłszy zajęcia, pomnażają liczbę trupów na chodnikach Kalkutty. Niemowlęta giną z braku mleka, te zaś, które jeszcze żyją, niepodobne są do ludzi. Całe zastępy mieszkańców dziesiątkuje cholera. Niech się pan nie dziwi, jeżeli ujrzy na drodze trupy, przykryte tylko liśćmi platanu, albo po prostu zwykłym kawałkiem papieru. Mój Boże, skąd ci ludzie po śmierci mogą mieć ubranie, skoro go nie mieli za życia! Panie, czyżby naszym nieszczęściom nigdy nie było końca? Kiedyż będziemy mogły nakarmić naszych mężów sytym obiadem? Kiedy bezrolni chłopi otrzymają ziemię?

Jak wynika ze sprawozdania delegatki hinduskiej na Światowej Federacji Kobiet, ilość takich głosów wzrasta z każdym dniem. A w miarę tego, im więcej kobiet hinduskich znajdzie się w organizacjach kobiecych, premier Bengali i wicekról Indyj, a co za tym idzie rząd angielski, będą się musieli z nimi liczyć.

Irena Michalak

FOTO — SAP

POCHWAŁA BLUZKI

Bluzka — a raczej kilka bluzek na różne okazje — to niejako „żelazny repertuar" garderoby każdej kobiety. Istnieje tysiąc przyczyn, przemawiających za tym, że bez bluzek nie można się obejść: po pierwsze — taniej wypadnie sprawić bluzkę niż całą sukienkę, na uszycie bluzki wystarczy bowiem jakakolwiek resztka materiału (półtora metra) lub mniej zniszczone części starej sukienki. Po drugie — bluzki łatwiej i szybciej piorą się i prasują, co przy naszym chronicznym braku czasu nie jest bez znaczenia. Po trzecie — posiadając kilka bluzek — zwykłych sportowych i strojniejszych — możemy łatwiej przystosować się do okoliczności i ubrać się odpowiednio zarówno na wykłady czy do biura, jak do teatru lub na wycieczkę. Po czwarte — bluzki są zawsze modne i nie podlegają tak gwałtownym zmianom i kaprysom mody, jak suknie czy kapelusze. Można „przechodzić" cały sezon, mając dwie ładne bluzeczki na zmianę do ciemnej spódniczki i nic sobie nie robić z wymagań najnowszej mody sezonu. Bluzki bowiem są nieśmiertelne i na przestrzeni przynajmniej 20 lat niewiele się w tej dziedzinie zmieniło..





Na użytek codzienny — najpraktyczniejsze są bluzki z cienkiego, kolorowego płócienka (używanego zazwyczaj na męskie koszule) gładkiego, lub w drobne paseczki, zefiru, piki bawełnianej, kretonu itp. Fason jak najprostszy, sportowy: z karczkiem lub bez, kołnierzyk wykładany męski lub okrągły bebé, kieszonka do chusteczki, przód zapinany na guziki, bluzka wpuszczana do spódnicy (dla osób szczupłych) lub wszywana w pasek i noszona na wierzch (dla tęższych).

Bluzki strojniejsze — szyjemy z piki jedwabnej, żorżety, lżejszych i cięższych jedwabi; rezygnujemy już z materiałów wzorzystych w paski, kratki i kropki, bowiem elegancka bluzka popołudniowa najładniej wygląda w jednolitym kolorze. Możemy sobie za to pozwolić na pomysłowość i fantazję w kroju — na ciekawe marszczenia, drapowania lub milutkie zawsze i młodzieńcze zakładki czy „szczypanki", biegnące fantazyjnie np. na ukos lub tworzące kratę na przodzie bluzki. Ślicznie wyglądają też bluzki przybrane wąską walancienką różową, kremową, granatową lub czarną.

Pekl.



JAK NALEŻY JEŚĆ AMERYKAŃSKIE KONSERWY

Konserwy amerykańskie przesyłane do Polski w ramach dostaw UNRRA doprawdy nie mają szczęścia do naszych gospodyń.

Wystarczy, by spotkały się dwie kobiety w sklepie rozdzielczym — zaraz zaczynają się narzekania:

— Te konserwy to obrzydliwość! Mięso na słodko — kto słyszał? Też, nie mają co przysyłać...

— Ach te konserwy! Mięso i jarzynki — przecież marchwi, fasolki i kartofli w Polsce nie brakuje, mogliby dać same mięso. A ta „krwawa kiszka" sucha jak pieprz...

— Proszę sobie wyobrazić, że całe pudełko ryby wyrzuciłam. Co to za ryba? Biała jakaś, rozłazi się, bez smaku, no, zupełnie do niczego!

— A ta śmietanka po ugotowaniu warzy się, jakiś ser się robi, dzieci nie chcą tego jeść, jeszcze mi się pochorują...

— Mój synek narzekał, że go brzuszek boli po tym amerykańskim dżemie pomarańczowym.

Jakże niesprawiedliwe są te narzekania!

Prawda, że smak konserw amerykańskich nie zawsze nam odpowiada. „Co kraj to obyczaj" — nie wszystkim smakuje amerykańska kiełbasa z zapachem goździków i wołowina duszona z rodzynkami — Amerykanom nie smakowałaby może nasza polska kiełbasa z czosnkiem i majerankiem.

Uderzmy się jednak w piersi i przyznajmy, że jeżeli większość konserw nam nie smakuje, to poprostu dlatego, że... nie umiemy się z nimi racjonalnie obchodzić.

Konserwy mięsne z jarzynami doskonałe są np. z kładzionymi kluskami — można je zresztą doprawić „po naszemu" i przedusić z cebulą, czosnkiem, pomidorami i pieprzem, jeśli uważamy, że są zbyt mdłe. Wyśmienita jest kapusta faszerowana nadziewana tymi konserwami, lub pieczony pieróg z konserwami i kapustą (rodzaj kulebiaka) do czerwonego barszczu.

„Krwawa kiszka" na zimno jest rzeczywiście niesmaczna, — jeśli jednak rzucimy ją, pokrajaną w talarki, na patelnię na gorący tłuszcz i podamy z gorącymi kartofelkami i kapustą — napewno wszyscy domownicy będą się nią zajadać.

Biała ryba oceaniczna (w okrągłych pudełkach) jest mdła i bez smaku, ale można z niej zrobić doskonałe kotlety rybne z pieprzem i zieloną pietruszką i podać je z gorącym sosem chrzanowym lub musztardowym.

Co do śmietanki — wystarczy wiedzieć, że nie należy jej gotować, lecz używać w takim stanie jak jest — do kawy i herbaty. A dżem pomarańczowy nie nadaje się do jedzenia w większych ilościach, zwłaszcza dla dzieci, gdyż skórki pomarańczowe są ciężko strawne, natomiast służy doskonale jako aromatyczna przyprawa do ciast, naleśników z serem, legumin, jako przyprawa do wódki itd.

A. B. O.







„Nawet podnosić się trzeba umieć" — mówi kol. Gawsz, wskazując na Rysia, który już świetnie jeździ na nartach, pada i wstaje na zawołanie.

Kurs narciarski ZWM

Szklarska Poręba — to jedna z najpiękniejszych miejscowości Ziem Odzyskanych, a jej okolice stanowią doskonały teren dla narciarzy. Nic więc dziwnego, że Wydział W. F. przy Zarządzie Głównym ZWM wybrał właśnie Szklarską Porębę na Obóz Zimowy dla początkujących narciarzy. Właściwie to nie byli jeszcze wcale narciarze, nawet i początkujący. Dość jednak, że są narty, wspaniały śnieg, dobry instruktor (kol Ryś ze Szklarskiej Poręby), nadewszystko zaś zapał młodzieńczy i chęć nauczenia się. Dobrze jeździć n nartach — to nie tak łatwo. Gdyby tak przypiąć dwie długie deski do butów i już... ale przedtem trzeba przejść kurs stąpania, padania, podnoszenia się, zakręcania, omijania przeszkód, bo wszystko musi być prawidłowo, jak należy. Najgorzej było z tym omijeniem przeszkód. Z początku jakoś wcale nie można było pokierować sztywnymi deskami, to też lądowało się na słupach i drzewach, a raz nawet cały turnus wjechał na płot. Na szczęście nikomu nie stała się krzywda, bo śnieg miękki, ale ambitni chłopcy postanowili raz na zawsze skończyć z niedołęstwem. Ćwiczyli, biegali, skakali, a pod koniec turnusu, trwającego 14 dni znali już wszystkie tricki narciarskie.

Cały kurs podzielony został na pięć turnusów, z których każdy trwał 15 dni. Pierwszy rozpoczął się 29 grudnia 1946, a ostatni kończy się 18 b. m. Kurs obejmuje ogółem 100 osób, w tym 12 koleżanek.

„Nawet podnosić się trzeba umieć" — mówi kol. Gowsz, wskazując na Rysia, który już wszystko umie, nawet na rozkaz pada i podnosi się. Nic dziwnego — jest mieszkańcem Szklarskiej Poręby.

W związku z przeniesieniem druku „Świata Młodych" z Poznania do Warszawy, drugi numer marcowy nie ukaże się.

Poczynając od dnia 1 kwietnia 1947 r. „Świat Młodych" ukazywać się będzie jako tygodnik, w niezmienionej postaci i objętości.

Warunki prenumeraty wraz z przesyłką:

miesięcznie	**zł 75.-**
kwartalnie (13 numerów)	**„ 225.—**
półrocznie . . .	**„ 440.—**

Obecny adres Redakcji i Administracji: Warszawa 12, ul. Grażyny 8, tel. 8-51-32, skrytka pocztowa 17, konto PKO.: Warszawa I, 4252.



W paryskim piśmie „Regards" z dn. 21. 2. 47 r. ukazał się reportaż o nowej Polsce, poświęcony w znacznej mierze młodzieży polskiej. W przededniu rozmów moskiewskich — stwierdza Gerhard Milhaud — należy sobie uświadomić, że państwo polskie jest gwarantem światowego pokoju. Przynależność Ziem Zachodnich do Polski nie może podlegać dyskusji. Polska poniosła tak olbrzymie straty ludzkie i materialne, że może wymagać, aby agresja niemiecka była uniemożliwiona raz na zawsze. Bez Ziem Zachodnich Niemcy nie będą zdolni do agresji. Autor podnosi zdecydowaną wolę odbudowy kraju i wyraża słowa podziwu dla młodzieży polskiej, która bohatersko walczyła za wolność podczas wojny, obecnie zaś oddała wszystkie swoje siły sprawie podniesienia kraju z gruzów. Reprodukujemy kartę tytułową pisma „Regards"

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Eugeniusz Kabała, Kwidzyn. Studium o Jacku Londonie, jest niewątpliwie ciekawe i zdradza stosunkowo dużą erudycję autora, trudno jest nam jednakże zgodzić się z twierdzeniem Kolegi, jakoby London był właściwie socjalistą, a kult siły, który głosił autor „Prawa białego człowieka", stanowił niewielką tylko różnicę między jego poglądami, a socjalizmem. W naszym przekonaniu London, bardzo nierówny jako artysta, ideologicznie stanąłby raczej po stronie faszyzmu, na to wskazuje z jednej strony kult białej rasy, z drugiej zaś — kult silnej indywidualności, tak typowy dla Nietschów, Rosenbergów i Hitlerów. Nie wydaje się nam również, aby Jack London spełniał wychowawczo pożyteczną rolę. Pisarz powinien pokazywać nam świat w prawdziwych proporcjach. Przemilczając rolę procesów społecznych w życiu człowieka — London warunku tego nie spełnia.

Prosimy bardzo o takie prace i łączymy pozdrowienia.

Jan Kurek, Kraków. Opowieści z Flossenburga nie zamieścimy.

W. Zarachowicz, Warszawa. Wszystkie wymienione w liście zdjęcia są do nabycia w „Filmie Polskim", Warszawa, Belgijska 5. Zdjęcia reprodukowane w „Świecie Młodych" zostają w archiwum redakcyjnym. Przesyłamy pozdrowienia.

Tymoteusz Mamiński, Bojanowo Poznańskie. — Jeden wycinek zamieszczamy. Prosimy o dalszą współpracę.

Alfred Jałowiecki, Katowice — Załęże. — „Świat Młodych" stanie się niebawem tygodnikiem. Powieść w odcinkach drukujemy od dawna. Na inne Wasze zapytania znajdziecie odpowiedź w miarę ukazywania się pisma. Za życzenia dziękujemy. Życzymy owocnej pracy.

Zdzisław Kalinowski, Kikół. — Jeden odcinek zamieszczamy. Pieniądze wysłaliśmy.

Tadeusz Suliński, Lubieniów, woj olsztyńskie. — Artykuły i zdjęcia są bardzo pożądane. Prosimy również o tłumaczenia (np. krótkie nowele), a przede wszystkim o korespondencję z terenu. Życzymy owocnej pracy.

H. Szrajdman. — Wiersza nie umieścimy. Trzeba czytać dobrych poetów dawnych i współczesnych, nabywać kulturę literacką. Nie każdy ma talent poetycki, ale kulturę i oczytanie może zdobyć każdy.

Edmund Gunulka, Sosnowiec. — Anegdota słaba. Za życzenia dziękujemy.

Juliusz Terajewicz, Toruń; J. Wert, Łódź; Tadeusz Dombalski, Toruń; Bronisław Wojciechowski, Katowice; Stanisław Janicki, Łódź; Janusz Żmudziński, Warszawa; W. Strelan, Brzeg nad Odrą. — Wycinki i cytaty słabe. Prosimy o dalszą współpracę.

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAWCA: SPÓŁDZ WYD. »PŁOMIENIE« ✱ *REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 8. TEL. 8-51-32 EKSPEDYCJA: WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 8. — TELEFON 8-51-32 PRENUMERATĘ WPŁACAĆ NA KONTO PKO Nr I-4252 W WARSZAWIE*

Rotograwiura — Drukarnia Nr. 2. Sp. Wyd. „Czytelnik" — Warszawa.



POŻEGNANIE ZIMY

FOTO-JARACZEWSKI